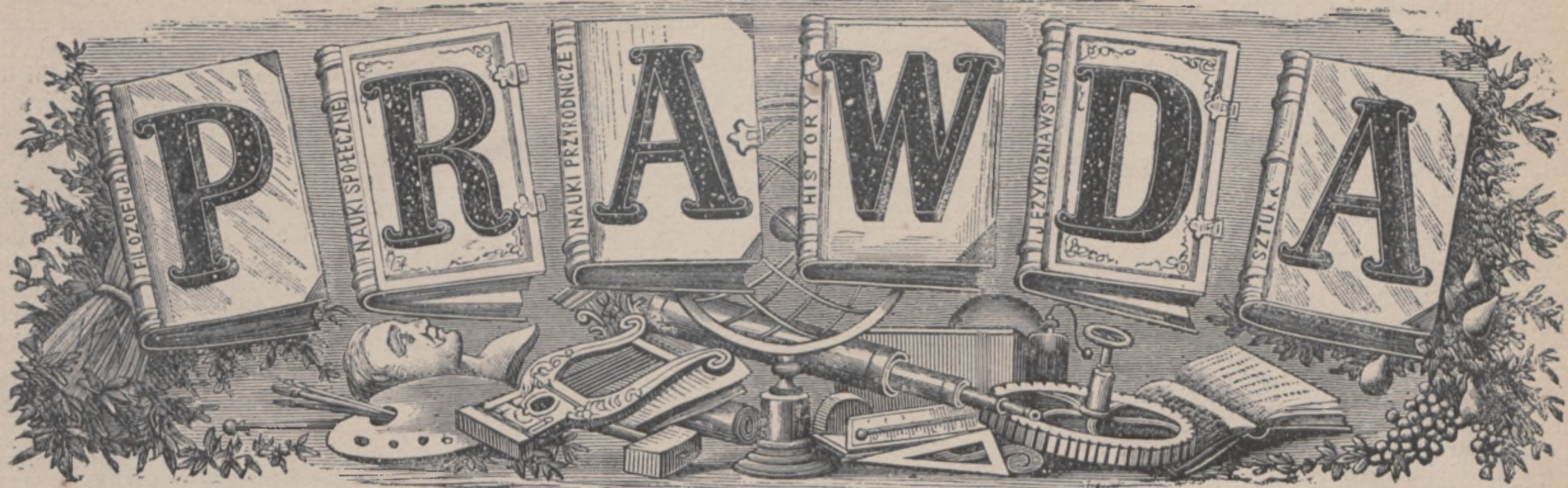
№ 39. Warszawa, dnia 27 (15) Września 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. abonentom naszym przypominamy nadchodzący termin kwartalnej przedpłaty, którą prosimy przesyłać, o ile można bezpośrednio, do Administracyi **Prawdy**.

W kwartale poprzednim zapowiedzieliśmy w bezpłatnym dodatku do *Prawdy* dzieło ekonomiczne. Otóż pierwszego zeszytu tego dzieła z numerem dzisiejszym rozesłać nie możemy. Ponieważ wszakże jest on już przygotowany, mamy nadzieję, że po usunięciu przeszkód i otrzymaniu odpowiedniego pozwolenia zdołamy uczynić to w miesiącu następnym. Abonenci nasi w każdym razie otrzymają dodatek za kwartał trzeci a jak mniemamy wybaczą nam niezależną od nas zwłokę.

POZNAŃSKIE WARCHOLSTWO.

Zgodne, ciche, prawie martwe Poznańskie uczuło w sobie wzburzoną krew i rozłamało się na dwa obozy. Bez względu na to, co tam sobie ktoś myślał lub do przyjaciół mówił, wyborcy i wybrani szli do urny i parlamentu zwartą ławą, która zacierała wszelkie różnice umysłowe, społeczne, nawet polityczne i roztapiała je w uczuciu narodowości. Pod tym względem społeczeństwo poznańskie i jego przedstawiciele zachowywali jeszcze większą karność, niż galicyjskie: nie miewali w swojem Kole secesyi, odszczepieństwa, a prasa wracających z Berlina posłów nie witała nigdy gradem wymówek. Przeciwnie, wszyscy byli z siebie, przynajmniej jawnie, zadowoleni, społeczeństwo wybierało tych kandydatów, których im komitet polecił, a dzienniki z pewnem nawet bałwochwalstwem zatwierdzały całą działalność swej reprezentacyi. W tem cichem jeziorku zjawił się nareszcie szczupak — dr. Rzepecki, redaktor *Gońca Wielkopolskiego*, który wywołał burzę i rozdwojenie. Jest to szczególne zjawisko. Dotychczas tytuł „warcholstwa" przysądzany był w dziennikarstwie polskiem jakiemuś organowi postępowemu. Skarga zwykle brzmiała tak: całe społeczeństwo ożywione jest jedną myślą, wszystkie pisma mają wspólny sztandar, tylko garstka warchołów, urągających religii, moralności tradycyi i uczuciom obywatelskim sieje waśń i bryzga błotem na wszystko, co święte. Takim aktem oskarżenia — jak wspomnieliśmy — pozywano zwykle przed sąd opinii publicznej pisma liberalne. Aż tu nagle w roli „warchoła" zjawia się na gruncie poznańskim konserwatysta, klerykał, czciciel wszystkich bogów tradycyi — słowem dr. Rzepecki ze swym *Gańcem Wielkopolskim*. Dzienniki warszawskie grzmiąc ustawicznie przeciw niemu, używają tych pocisków, które dawniej wystrzeliwano tylko na liberałów. I co ten pan robi?

W zwykłym biegu rzeczy broni namiętnie papiestwa i „poręczonych traktatów." Są to dwa ulubione jego hasła, dwa niewyczerpane tematy do ćwiczeń publicystycznych. Zajmując stanowisko opozycyjne względem rządu pruskiego, dr. Rzepecki ocenia każdy czyn ks. Bismarka miarą praw Kuryi i zastrzeżeń traktatów z końca przeszłego i początku obecnego wieku. Krytykę tę przeplata on naturalnie wszystkiemi nićmi najczystszego i najtwardszego konserwatyzmu. Dotąd „warchoł" poznański bywa ze swem otoczeniem w zupełnej zgodzie. Ale gdy nadejdzie pora przedwyborcza, zrywa on wszelki sojusz, wyłamuje się z pod powagi wszelkich komitetów, stawia własnego kandydata i zapomocą podburzania niższych klas ludności usiłuje go przeprowadzić. Odbywają się przytem sceny wrzaskliwe a dla Poznańskiego nader smutne. Oto przed kilku dniami dał znowu dr. Rzepecki widowisko gorszące, które jeszcze nie dobiegło do końca. Wbrew uchwale komitetu, oświadczającego się za St. Cegielskim, wysunął on swego współpracownika d-ra Niegolewskiego. Na pierwszem zebraniu wyborczem stronnicy *Gońca* wyprawiali takie burdy, że musiano obrady przerwać. Ale i drugie nie lepiej się powiodło. Krzyki, gwizdania, obelgi podlechtanego tłumu udaremniły poważną dyskusyę. Po nad zebraniem przelatywały wymysły, które przypominały sromotny zgiełk dawnych sejmików najgorszego rodzaju. Do jakich granic doszło „warcholstwo" *Gońca*, widzimy z dwu projektów okiełznania go. M. Łyskowski w liście publicznym radzi nie zwoływać trzeciego zebrania, lecz ułożyć listę kandydatów bez udziału wyborców — środek radykalny, ale nieprawny i pachnący gwałtem. Inną drogę wskazał pewien mieszczanin z Wrześni, który żądał od zgromadzenia mandatu dla delegata państwowego, aby ten domagał się od komitetu napiętnowania *Gońca Wielkopolskiego*.

Jak widzimy, walka idzie na noże i obok swego gorszącego widoku grozi społeczeństwu rozterką, z której... *tertius gaudet*.

Jest-że dr. Rzepecki „warchołem?" Czy to człowiek odmiennych od większości przekonań, czy też samolubny wichrzyciel, który awanturą chce wypłynąć na wierzch? Niestety, musimy mu odmówić godności obywatelskiej. *Goniec wielkopolski* w zasadach głównych godzi się całkowicie ze swem otoczeniem, nie zajmuje wcale odrębnego stanowiska umysłowego, społecznego i politycznego, tylko urządza konfederacye co do osób. Konfederacye takie są w Poznań-

skiem szczególnie potępienia godne. Jeżeli w Galicyi demokraci walczą ze stańczykami, to walka ich rozstrzyga się jedynie między nimi. Nie będzie posłem *...ski*, to będzie *...wicz*. Inna sprawa w Poznańskiem. Gdy tam *...ski* weźmie się za czub z *...wiczem*, na tem może skorzystać *...mann*. Ów trzeci, korzystający z bójki dwu, zmusza do mocniejszej solidarności w postępowaniu, do większego rygoru. Właśnie dlatego Koło polskie w Berlinie nie zrodziło dotąd odszczepieństwa i zrodzić go nie może, bo je spaja obawa przed niebezpieczeństwem. Jeżeli zaś poważny ten wzgląd niezdolny jest stłumić w jakimś działaczu i organie publicznym popędów samolubnych, zwłaszcza niewspartych istotną różnicą przekonań, trudno takiego działacza i takiego organu nie oskarżyć o karygodne warcholstwo.

PROGRAMOWE FRAZESY.

Wojciech hr. Dzieduszycki do niedawna był sobie tylko kierownikiem szczuplutkiego kółka posłów sejmowych, o nieokreślonej nazwie „ateńczycy," i niezbyt szczęśliwym prelegentem. Od roku zeszłego wyrósł nagle, choć może spodziewanie, na przywódcę większości, a mowa jego do wyborców w Stanisławowie wywołała wrzawę na wschodzie, na zachodzie i na północy. Wrzawa ta jednak dotyczy faktu mowy, nie zaś treści: pochwycono sposobność, aby poirytować i, jeżeli można, zaszkodzić rodakom posła. Takież same domysły, oburzenia, insynuacye brzmiałyby ze szpalt nieprzychylnych dzienników, gdyby p. Dzieduszycki odczytał był jaki ustęp ze swych prac o Grecyi, lub odddeklamował który psalm pokutny.

Bo o co rzeczywiście chodzić może np. opozycyonistom austryackim? Lojalniejszym niż poseł stanisławowski być nie można. Szczera wierność dla państwa stanowi dlań dogmat. Wszystko zaś, co więcej powiedział, jest przedstawieniem ogólnie znanego stanu rzeczy.

Mowa cała rozpada się na dwie części: w jednej poseł oświetla sytuacyę i nieco krytykuje zdania odmiennie myślących kolegów; w drugiej stawia dodatni program na przyszłość.

Rozbicie się partyi stańczyków, a następnie przeszłoroczne wybory, doprowadziły do utworzenia w sejmie stronnictwa, które, uznając potrzebę rdzennej reformy ustawodawstwa krajowego, ma ją uskuteczniać powoli, szanując uzyskanej już nabytki i dążąc do utrwalenia tak krajowej, jako też i administracyjnej autonomii.

Przed powstaniem większości z takim programem istniały w Galicyi dwa zachowawcze stronnictwa: klub podolski, który chciał samorządu, a odtrącał potrzebę reform, i stronnictwo krakowskie, pożądające gruntownej zmiany w ustawodawstwie krajowem, ale gotowe zrzec się samorządu. Nowoutworzona partya środkowa połączyła w swym programie dodatnie dążenia obu prawie i pragnie zarówno utrzymać, a nawet rozwinąć autonomię, jak i przeprowadzić różne reformy.

Wobec zjawienia się trzeciego towarzysza sejmowego podolacy i stańczycy połączyli się, niewiadomo jednak, kto komu ustąpił, gdyż, jak utrzymuje p. Dzieduszycki, bodźcem i podstawą do sojuszu nie były wspólne przekonania, lecz obawa przed niebezpieczeństwem naruszenia zasad karności narodowej i niszczącą opozycyą.

Potrzeba rozwiania takich ułudnych strachów wprowadza naszego posła na pole programu ogólnego, niepaństwowego.

P. Dzieduszycki, jak również jego przyjaciele polityczni, karność narodową uważają za cnotę pierwszego rzędu, a rozumieją ją jako solidarność posłów, kandydatów na posłów, dygnitarzy i ministrów polaków w każdem wystąpieniu na zewnątrz, podczas zaś przygotowań do takiego wystąpienia, w swojem kółku, każdy ma nietylko prawo, lecz i obowiązek popierania swych osobistych zdań. Poseł. niezgadzający się z ogólną polityką Koła, winien złożyć mandat. Ten sposób zapatrywania się jest bardzo trafny, tylko że rozwijanie jego można uważać za stratę czasu, bo wszyscy to znają, popierają i praktykują, a po secesyi 1878 roku nikt w Galicyi, nie wyłączając p. Hausnera, inaczej nie rozumuje. Zamykania zaś ust na kłódkę u siebie, w życiu wewnętrznem, nikt wymagać nie może.

Również zgodnie z utartymi ogólnikami p. Dzieduszycki oświadcza, żeśmy się zrzekli ułudnych mrzonek przeszłości, nie liczymy teraz ani na obcą pomoc, ani na wstawiennictwo idei narodowościowej, nie mówiąc już o awanturniczych pomysłach użycia własnej siły, a natomiast pamiętamy, że jesteśmy dziećmi słowiańszczyzny, a wychowańcami zachodu; jak zbawcza gwiazda przyświeca nam idea jagiellońska. Termin ten, nie wiem czy znany dawniej, czy użyty tu po raz pierwszy, nie oznacza wcale pożądań od morza do morza, jak zrozumiała dobra wola najserdeczniejszych, ale jest jedynie zbiorową nazwą niewinnych formułek, znanych wszystkim i powtarzanych przez wszystkie stronnictwa o złotej wolności ludzi i sumienia, o świętem braterstwie wolnych i równych. Wojowanie takiemi hasłami jest bardzo wdzięczną rolą dla ludzi, niemających programu, bo ładnie brzmią i nic nie wyrażają.

Według przekonania mówcy, polacy potrzebują, a Austrya musi trzymać się owej jagiellońskiej idei, jest więc punkt zetknięcia się i sojusz gotowy na wieki wieków.

Ponieważ zaś Galicya jest tylko Galicyą, więc p. Dzieduszycki podnosi zbawienny wpływ dobrego przykładu, a może i perswazyi, czego najwymowniejszą ilustracyę znaleźć można w bajce o kucharzu i kocie.

Dalej szan. poseł potrąca o kwestyę rusińską. Czytelnicy znają ten ustęp z przeszłego numeru. Dla porządku tylko dodać należy, że tu jak i w innych sprawach żadnych ściśle politycznych wskazówek znaleźć nie można.

Zapewnienia o swej lojalności p. Dzieduszycki wypowiada wyłącznie dla publicznego użytku, bo co do prawic, to te, połączywszy się, doszły niebawem do przekonania, że od partyi środkowej nie dzieli ich nic, nastąpiła więc błoga jedność, wobec której niepotrzeba dłużej bawić się w określanie szerszego stanowiska, a wprost przystąpić należy do spraw państwowych, do roli przedstawicieli Galicyi w Wiedniu.

Tu zachodzi zjawisko dziwne i dla nieznających spraw i ludzi niespodziewane. Umiemy wszyscy i zawsze z niemylną pewnością radzić sobie w sprawie zawikłanej, oznaczyć narodowe stanowisko, a da-

---

O CZEM NIE ŚNIŁO SIĘ FILOZOFOM.

Chociażby mieszkańcy osady W. ogłosili we wszystkich pismach poświadczone przez wójta gminy zaprzeczenie, ja nie przestanę utrzymywać, że tak było.

W owej osadzie — o czem ona, z dumą przyznać muszę, dotąd pamięta — ujrzałem światło dzienne. Tamże urodziła się przede mną—o czem wszakże pamiętać nie chce — panna Leokadya, której przez kilka wakacyi z rzędu pożyczałem jeden tom Słowackiego z założonemi przy miłosnych wierszach kartkami; tamże wreszcie mieszkała moja ciocia, wdowa, która, ile razy ją odwiedziłem jako uczeń gimnazyum, dawała mi przy odjezdnem cztery złote, mówiąc:

— Gdyby żył mój świętej pamięci mąż, radca dworu, dałabym ci więcej.

Nadszedł czas, w którym ani cioci odwiedzać nie mogłem, ani czterozłotówek brać nie potrzebowałem. Ale ona nie przestawała mi przypominać obowiązków pokrewieństwa i wdzięczności. Raz nawet zrobiła mi cierpką wymówkę: „Ubogą jestem — pisała — i nieukształconą wdową, podczas gdy ty, jak słyszę, tworzysz książki i gazety. Ale, mój drogi, pozostałam twoją ciotką, a byłam żoną radcy dworu, urzędnika, o którym naczelnik mawiał: gdyby nie pan Sroczek, zginęlibyśmy wszyscy w biurze. A w Siedlcach przecież mądrych ludzi nie brakło." Tak przyparty do muru, z jednej strony dla zapewnienia spokoju w grobie wujowi, z drugiej dla uszczęśliwienia ciotki, wybrałem się do W.

Biedna kobieta była rzeczywiście uszczęśliwioną. Przypatrywała mi się, przesadzała z krzesła na krzesło, dolewała śmietanki do kawy i co chwila wybiegała do kuchni, ażeby wytłomaczyć służącej moją ważność.

— Więc ciebie tytułuje się literat? — spytała wreszcie z uśmiechem.

— Najkrócej tak — odrzekłem.

— A... to masz jeszcze inne zaszczyty. Otóż mój panie literacie, muszę ci powiedzieć, że cały W. umiera z ciekawości poznania ciebie.

— Któż taki?

— Wszyscy. Panna Leokadya aż sponsowiała, usłyszawszy o twoim przyjeździe, Krzyk, garbarz, przechodził już kilka razy przed mojemi oknami, Ulski, nauczyciel, mówił mi, że czytał twój artykuł o chederach, za co go zburczałam, bo gdzież byś takiem plugastwem się zajmował, a pisarz gminny to aż drży ze strachu, żebyś go do gazety nie podał, bo szelma drze, aż strach. Jaja, nie jaja, masło, nie masło, grosz, nie grosz — wszystko bierze i szachruje. Wartoby mu!

— Więc panna Leokadya jeszcze nie poszła za mąż?

— Na ciebie czeka.

— Ja, moja ciociu, pekeflejszu nie lubię.

— Masz racyę, dałam jej to do zrozumienia. Nieboszczyk mąż mój, który wiele czytał a nawet jakieś papiery po nim zostały, tylko ja się na tem nie znam, zawsze powtarzał: dopóki kobieta jest mlekiem słodkiem, każdy by ją wypił, a gdy się zsiędzie, potrzebuje amatora. Ale, ale, nie napiłbyś się kawy, mam doskonałą śmietankę.

— Dziękuję cioci. Cóż to za ruch na rynku?

— Wybierają dziś wójta. Kroniki pisać, co tu się dzieje. Kandydatów podobno aż pięciu. Żydzi popierają pisarza, bo bierze łapówki, połowa mieszczan—Krzyka, a połowa —Kobusa, adwokata, co tu niedawno osiadł, arystokracya nasza—ojca Leokadyi, a mówią, że i Korycki obywatel ma nadzieję.

W tej chwili weszła panna Leokadya. Nie mam zamiaru spowiadać się z grzechów dzieciństwa, więc dymisyonowanej bogini mego serca opisywać nie będę. Nadmienię tylko, że nadzwyczajnym szelestem sukni usiłowała ona pokryć widoczne zmieszanie i niemniej widoczną datę swych narodzin, która — jak wspomniałem — była wcześniejszą od mojej.

— Myślałam — rzekła po przywitaniu się — że mnie pan nie pozna.

leko prostszego zadania — jak się zachować wobec państwa — rozwiązać w żaden sposób nie możemy.

Według wyjaśnień p. Dzieduszyckiego w Austryi tak:

Ministeryum Taafego popierać należy, bo jest mniej złe, niż inne. Nic dla polaków nie zrobiło i nic zrobi, bo nie może, nie należy go wszakże opuszczać z obawy przed centralistami, którzy też nic nie zrobią, a są przytem centralistami. Żyjemy — powiada on — w bardzo dobrych stosunkach z klubami innych narodów, poparliśmy je wszędzie, gdzie chcieli; nie uzyskaliśmy za to nic, ale też nic nie obiecywali ani obiecują. Korzystne stanowisko w parlamencie i rządzie na nic się dotąd nie zdało, na pociechę jednak możemy mieć trojaką nadzieję: w przyszłości potrafimy zachować takt i poprawić nieświetną dotychczasową reputacyę; z tego, żeśmy zupełnie nie umieli wyzyskać okoliczności dotąd, wnosić można o świetnych zdobyczach podczas mających nastąpić sesyj; państwo powinno zmienić swą politykę ekonomiczną względem czwartej swej części, jaką jest Galicya, gdyż jeżeli nadal zechce tak pustoszyć, to wyjdzie na tem bardzo źle, bo... zaszkodzi swym własnym interesom.

Gdyby społeczeństwo galicyjskie mogło tak widzieć rzeczy, jak pojedyncza jednostka, a ze swymi kierownikami postępować jak dziedzic z ekonomem, to powinno p. Dzieduszyckiego za niedołęstwo odprawić jeszcze przed końcem sesyi sejmowej.

Bo jak to można, ażeby przywódca większości, występując z mową programową z jednej strony w celu zdobycia sobie uznania i poparcia ogółu, a z drugiej strony w celu politycznego kształcenia szerszych kół narodu, zamiast ściśle i jasno określić dążenia i szlaki, któremi iść zamierza, posługiwał się pustymi, a niezręcznymi ogólnikami. Wszedłszy dopiero na stosunki w Wiedniu, a więc w kwestyi drugorzędnej, mówca dotykał sprawy bardziej szczegółowo.

Prócz tego w ustępie o ogólnej taktyce społeczeństwa, mógł szan. przywódca nasunąć podejrzenia, że sprawy polityczne przedstawiają mu się tak mglisto, jak słuchaczom treść jego prelekcyi. Albo p. Dzieduszycki uważa za niewłaściwe żywienie dalszych planów i w takim razie szkoda, że nie jest równie szczerym, jak p. Jerzy Moszyński i nie nawołuje do kultu dla... kołnierza; albo plany takie są według niego potrzebne, niewiadomo więc, dlaczego jakiś sojusze podaje za nietykalną zasadę. To tak, jak gdyby ktoś, mając wejść na górę, robił ślub używania do pomocy tego a nie innego kija, zapominając, że drzewo się łamie, a rzecz, niezłączoną z nami organicznie, stracić można.

Od wielu lat dziesiątków każdy, zabierający u nas głos w sprawach politycznych, zaczyna od ogłoszenia innych za ludzi pozbawionych rozsądku, lekkomyślnych, lub nawet zbrodniów i oświadcza, że on i partya jego posiadają dopiero niezawodny talizman. Każde stronnictwo nowopowstające wyobraża sobie, że słońce wraz z niem weszło i nowa era na świecie nastała. Tymczasem wszystkie kombinacye wyczerpane już oddawna, wszystkie polityki były stosowane, wszystkie więc tak, lub inaczej zawiodły. Zaczynanie więc programów od: „jużeśmy się przekonali, jużeśmy odrzucili itd.“ wybaczyć można publicyście, ale nigdy politykowi z zawodu.

Jeżeli społeczeństwo ma jakieś odrębne cele i dążenia to potrzebuje mieć jakąś siłę do ich zdobycia. Liczna masa, kierująca się popędami, siły takiej nie stanowi, koniecznym jest organ, czy to jednostka, zaopatrzona w zaufanie lub mandat, czy organizacya jakaś, koło chociażby sejmowe. Kierownik polityczny powinien zdać sobie sprawę ze wszelkich kombinacyj, powinien przygotować się do wszelkich logicznie choćby tylko możliwych wypadków i umieć korzystać ze wszystkiego. Roztropność, wytrawność i rozum polityczny jest warunkiem tak niezbędnym, że samo istnienie przewodnictwa bez niego byłoby zgubą; należy więc z góry przypuszczać umiejętność oryentowania się i wolność od ułud. To też, czy godne jest prawdziwego męża stanu żądanie zrzeczenia się dobrowolnego wielu środków na rzecz jednego! Skąd gwarancya, że się p. Dzieduszycki nie myli, wszyscy jego przeciwnicy są równie pewni swego. Największą wadą była przez całe stulecie jednostronność, która zamiast liczenia się ze zmiennymi warunkami, zawsze i wszędzie chciała dążyć do pewnego projekciku. Stąd taki brak ciągłości i coroczne występy nowych mesyaszów.

Może p. Dzieduszycki nie myślał o politycznej taktyce w ściśłem znaczeniu tego wyrazu, lecz chodziło mu o skierowanie dążeń opinii (aspiracyj, jak dziś lubią mówić) z błędnych ścieżek na drogę prawdy. Ponieważ każdy środek zawieść może, więc każda jednostronność w dążeniach może być zgubną. Publiczność potrzebuje nie wmawiania w nią jakichś teoryek, ale ogólnie politycznego zmysłu i wykształcenia. Chwycenie się nowej mary jest tylko przewróceniem złego na drugą stronę. Ogół powinien umieć poprzeć swych przywódców zawsze, to też musi być zdolny do zwrotów przy każdej zmianie okoliczności. Należy więc szczepić ducha obywatelskiego i rozwijać znajomość spraw; więcej mówić o potrzebach, niż o szczegółach taktycznych tej, lub owej polityki.

Wątpić jednak należy, aby p. Dzieduszyckiemu chodziło o polityczne kształcenie społeczeństwa. Mowy swoje miewa chyba dlatego, że taki jest zwyczaj, można się przytem wygadać, zasłużyć na oklaski przyjaciół i głośno wyrazić jakąś wymajstrowaną w głowie kombinacyjkę, albo rzucić na pastwę tłumom znakomity pomysł, np. o... jagielońskiej idei. Na całym świecie przywódcy polityczni uważają za swój obowiązek i potrzebę oddziaływać wciąż na opinię, szerząc za pomocą drukowanego słowa odpowiednie pojęcia i chroniąc ua tej samej drodze ogół od złych wpływów. To też każdy wybitniejszy poseł we Francyi, w Niemczech, Anglii, Włoszech posiada własny organ i od polemik z dziennikarstwem wcale się nie usuwa. Ileż to razy artykuł gazety jest przedmiotem dysput w parlamencie. W Galicyi nie tak. Nieboszczyk Szujski, przywódca stronnictwa *Czasu*, z dumą oświadczył raz, że *Reformy* nie czytuje nigdy. P. Dzieduszycki znów z godnością w swej mowie oznajmia, iż „wcale by nie odpowiadał na zdziwienie i może na insynuacye bezimiennych pisarzy, ale sądzi, że nal·ży koniecznie odpowiedzieć na słowa, wypowiedziane przed rokiem w *Przeglądzie polskim*, przez człowieka ze wszech miar znakomitego, przez p. St. Tarnowskiego.“

Wobec takiego traktowania dziennikarstwa zdawałoby się, że p. poseł dumnym milczeniem upokorzy niewątpliwych tym razem insynuatorów zagranicznych, którzy rzucili się na martwo urodzony program. Wyborcy go zrozumieli właściwio, sfery *wyższe* w Wiedniu również, o cóż więc mogło chodzić? Przytem owe nauki moralne i przestrogi

---

— Ależ pani — odparłem — mam dopiero lat trzydzieści, a w tym wieku pamięć jeszcze nie słabnie.

— Przyjechał pan do nas zbierać wzorki (zdanie, które panna prowincyonalna chociaż raz w życiu wymówić musi).

— Nie, pani, przyjechałem ciotkę odwiedzić.

— Tylko?

— Tylko.

— Przykładny z pana siostrzeniec.

— Innego przykładu w W. dać nie mogę.

— Jakże po tylu latach wydał się panu nasz partykularz?

— Dla każdego miło są miejsca rodzinne.

— A mimo to tak dawno pan u nas nie był, chociaż ciocia prosiła, a znajomi tęsknili.

— Wdzięczny jestem cioci i znajomym, ale ludzie, jak owoce, gdy dojrzeją, odrywają się od drzew — i wędrują w świat daleki.

— Czy już pana jaka Laura zjadła? (Dzięki jednemu tomowi Słowackiego, panna Leokadya wszystkie kobiety kochane nazywała Laurami).

— Jeżeli pani pyta o moją narzeczonę, to ona ma na imię Stefania.

Bolesny wyraz skrzywił usta panny Leokadyi, która, zamieniwszy z ciotką kilka słów, odeszła.

Tymczasem ruch na rynku coraz bardziej wzrastał. Zbierały się gromadki ludzi, rozprawiających żywo i krzykliwie. Nie widziałem nigdy wyborów gminnych, więc poszedłem przypatrzyć się maszynce naszego samorządu. Po drodze kilkunastu mieszczan, kiedyś zapewne znajomych, powitało mnie ukłonem, jakiś żydek cmoknął z zadowolenia, pan Krzyk wyraził swoje „najniższe uszanowanie,“ wreszcie zbliżył się do mnie Dziurkowski, ojciec panny Leokadyi.

— Witamy, witamy — zawołał z dobrodusznym uśmiechem. A to nam meteor spadł! Jakże to w panu mały Kazio utonął, ani bym poznał.

— A i nad panem czas nie próżnował.

— Kłopoty, szanowny dobrodzieju, kłopoty. Dopóki byłem kasyerem, zatykało się dziury w biedzie; gdy miasto zamienili na osadę i spadłem z etatu, nie mogę się nigdzie na długo zaczepić. Poczciwy Gorzelski posyłał mnie za swymi interesami do Warszawy i nieźle wynagradzał; zeszłego roku umarł, wdowa majątek sprzedała, teraz liż łapę, a łapa chuda.

Zrobił się szmer — z dawnego ratusza wyszedł naczelnik powiatu. Wyłożywszy zebranym ich prawa i obowiązki, zapewnił, że w swym wyborze zupełnie są swobodni i kazał stanąć po jednej stronie tym, którzy chcą mieć wójtem Szustkiewicza, a po drugiej tym, którzy go nie chcą.

Zrobiło się zamieszanie, zaszemrały ciche szepty, gdyż o Szustkiewiczu nikt przedtem nie słyszał. Już kilku mieszczan uszeregowało się na przyjaznej dla kandydata stronie, gdy zabrał głos Kobus, adwokat, a szczerzej mówiąc — pokątny doradca.

— Za pozwoleniem, panie naczelniku, prawo jest świętem przymierzem między niebem a ziemią, łamać go więc nie wolno. A prawo powiada, że ojciec gminy winien być dobrowolnem dziełem swych synów. Pan Szustkiewicz nie wyszedł z tego łona, do którego my należymy.

Naczelnik kazał sobie przetłomaczyć tę szumną apostrofę i rzekł:

— A pan wyszedłeś z tego łona?

— Mam tu ziemię i dom — odrzekł Kobus.

— Kupione pozornie.

— Symulacye rozpoznaje sąd, a kasuje senat w dwunastym departamencie; administracya liszona tego prawa.

— Kobus! Kobus! będzie wójtem!—krzyknęła grupa mieszczan.

— Pisarz! Korycki! Dziurkowski! Kobus! Korycki! — wrzeszczeli inni, wyrzucając z gardeł rozmaite nazwiska.

— Cicho gawrony! — uśmierzał naczelnik.

Umilkli.

— Za pozwoleniem pana naczelnika — przemówił znowu Kobus. Wyborcy, osło-

polityczne *Pesther Lloyda* np. ani głębokie, ani słuszne, ani znaczące nie są.

Znana od lat wielu teorya o niemożebności odgrzewania żmij na swem łonie, o niemoralności jednoczesnego korzystania z jakichś ustępstw i niewdzięcznego marzenia o szczęściu nie w objęciach łaskawego dawcy, gdyby nawet stosowała się do mowy p. Dieduszyckiego, zabijająco logiczną wcale nie jest. Polityczne życie, to nie etyczne obowiązki wychowańcy wobec opiekuna, to nie wcielanie łaskawych względów i dobrych chęci przyjaciół lub dobroczyńców. Jedni dają tyle, co muszą, a drudzy żądają tego, co potrzebują. Każdy to rozumie, nie wyłączając zapewne i rodaka Kossutha, pouczającego polaków w peszteńskiem piśmie. Można było milczeć, p. Dzieduszycki jednak, lekceważący głosy swoich, zaczął się tłomaczyć, bić w piersi i zaklinać, że lepszego austryaka od śmierci nieboszczyka cesarza Rudolfa I nie było na świecie. Tym razem wzgląd na „ze wszech miar znakomitego“ istnieć nie mógł, bo reporter *Dziennika polskiego*, przed którym p. poseł wynurzał swoje żale, nie ma na pewno pretensyi do kolegowania w przychylnej nawet opinii zł hr. Tarnowskim, a pisarz *Lloyda* u nas przynajmniej nie imponuje gromkiem imieniem.

P. Dieduszycki, wymyśliwszy takie jasne określenie dla rzeczy, znanych oddawna z imienia i nazwiska całemu światu, liczył zapewne na niezmierny efekt: *jagiellońska idea!* Tymczasem wplątał się w kłopoty, jak ta baba, co prosię sobie kupiła. Tłomaczenia się jego obecne z pewnością nie będą wstępem do zapowiedzianego przywrócenia godności i wpływu Koła polskiego *).

Ludwik Straszewicz.

*) Długi list do *Pesther Lloyda* kończy p. Dieduszycki w ten sposób: „Wyborcy moi zrozumieli mnie zupełnie i sądzę, że nie będzie zapewne potrzeba, skoro słowa moje przetłomaczyłem sam na język niemiecki, powtarzać, że w mowie mej przez „ideę jagiellońską“ rozumiałem tradycyę wolności, równouprawnienia, tolerancyi i cywilizacyi zachodniej, która niegdyś i poraz pierwszy tu na wschodzie wypowiedzianą została przez dom Jagiellonów, a dziś cenioną tak wysoko przez dom austryacki w środku wschodniej Europy.

Mówiłem więc w duchu lojalnym i pokojowym. Nie chciałem, aby Austrya była wyłącznie słowiańskiem państwem, bo to by było krzyczącą niesprawiedliwością; ostrzegałem przed tem, aby nie doradzać państwu wojny awanturniczej; chciałem wyrazić przekonania moje o konieczności lojalnego trzymania się Austryi, jak to jest teraz, i obecnego jej prawno-politycznego składu.“

P. Lloyd oświadcza, że na tak pojęte stanowiska hr. Dieduszyckiego pisze się w zupełności.

O UTOPIACH.

Gdybym dwa tygodnie temu, mówiąc o Czerwonym Krzyżu, nie napisał, że piękniejszą i pożyteczniejszą byłoby rzeczą, zamiast rany leczyć, ran nie zadawać, popełniłbym był, wyrażając myśl tę obecnie, plagiat. Myśl tę samą wygłosił p. J. Gaillard, deputowany francuski, który d. 7 b. m., miał w Genewie odczyt „O sprawiedliwości międzynarodowej.“ Prelegent wspominał o Czerwonym Krzyżu, jako o instytucyi humanitarnej, zasługującej na pochwały największe, i wyprowadził stąd zapytanie: „Czy by nie było jeszcze humanitarniej ran nie zadawać?“ Zachodzi tu powinowactwo idei. Zapytanie wypłynęło, niby woda ze źródła. W rzeczy to samej konsekwencya logiczna przedstawia się w tym razie pod postacią porządku naturalnego, zwracającego się od następstw do przyczyny. Widok choroby, dolegliwości, plagi każdej nasuwa sam przez się go głowy myśl o środkach zapobiegających. Czy by nie można odwrócić? Zapytanie to tem się wyszczególnia, że ludzie poważni cechują je zazwyczaj na razie piętnem utopii. Doprowadziło ono jednak do rezultatów ogromnych: do szczepienia ospy, karbunkułów, wścieklizny, do stawiania tam powietrzu, do zabezpieczania się przeciwko następstwom gradobicia, pożogi, pomorku na bydło, nieurodzajów, etc. etc. „Od powietrza, głodu, ognia i wojny“ — śpiewa lud po kościołach, zanosząc błagania do niebios. Błagania towarzyszą dymom kadzideł i z dymem idą, a tymczasem ludzie, co myślą i kombinują, robią wynalazki, obmyślają sposoby i, jeżeli nie w zupełności, to w części znacznej, zapobiegają klęskom powietrza, głodu, ognia. Dzięki wynalazkom i sposobom plagi te nie srożą się tak, jak się srożyły przed laty—z czasem, zawsze dzięki wynalazkom i sposobom, jeszcze mniej srożyć się będą. Dotyczy to wymienionych w suplikacyach: powietrza, głodu i ognia. Wojna jedna, nie mniejsza od tych trzech plaga, stanowi wyjątek. Ona jedna — i ona wszakże w chwili obecnej różni się od tego, czem dawniej była. Wpływ Czerwonego Krzyża, dopuszczony i uznany urzędowo, znamionuje wyłom, jaki zrobiła w niej opinia publiczna, która się powszechnie a coraz to wyraźniej i głośniej przeciwko wojnie oświadcza i środków zaradczych domaga. Czy nie można by wojny usunąć? Na zapytanie to ludzie wielce poważni odpowiadają: utopia! — a lud wciąż do suplikacyi dodaje: „...i wojny;“ a ludzie, co myślą i kombinują, szukają sposobów przeciwko pladze, którą suplikacye łączą w jedno z plagami natury. To, że wojna nie jest plagą natury, że zależy od człowieka, nadaje jej charakter odrębny. Zapobiegające środki posiadamy w samych sobie, spoczywające w tych zaczynach cywilizacyjnych, które wytwarzają postęp i rozwój na drodze prawodawczej. Prawodawstwo uregulowało przecie wojnę, okiełznało ją, zastrzeżeniami ograniczyło, w karby ujęło: czyżby się znajdowało w niemożności uczynienia na drodze tej kroku jeszcze jednego i postawienia przeciwko niej, jak przeciwko piorunom, konduktora? Nad wynalezieniem konduktora tego rodzaju odbywa się w łonie ludzkości praca podobna do tej, dzięki której wynaleziony, jak się zdaje, został sposób kierowania balonem w powietrzu. I tu o sposób chodzi. Ludzie myślą, zgromadzają się i naradzają, probują i doświadczenia czynią. W tym celu stowarzyszenia, ligi, związki wyrastają,, niby grzyby po deszczu — po deszczu krwawym. Co chwila przybywa w zakresie tym coś nowego na gruncie „zgniłego“ Zachodu, to jest, w krajach, stojących pod względem cywilizacyjnym najwyżej, a mianowicie: w Anglii, we Francyi, we Włoszech, w Szwajcaryi, w Holandyi, w Danii, Szwecyi i Norwegii, w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. W roku pozaprzeszłym zawiązało się w Anglii stowarzyszenie pod nazwą: *Stowarzyszenie międzynarodowe pokoju i sądu polubownego*; w roku przeszłym odbyło one kongres w Brukseli, w tym — w Bernie. O kongresach tych czytałem w pismach naszych wzmianki, naecechowane pobłażliwością żartobliwą. „Dobre to, dobre, ale — to dzieciństwo.“ Mnie, patrzącemu na rzeczy te zblizka i rozpatrującemu się w nich uważnie, wydaje się, że dzieciństwo wyrok ten

nięci puklerzem ustawy gminnej, są jednostkami prawnemi, a nie gawronami. Panowie — rzekł, zwracając się do zebranych — bezporządki w obliczu prawa są przestępstwem, mocą wyroków Izby sądowej umyślnie karanem. Więc nie ściągajcie na siebie surowości kodeksu, ale zbierzcie rozum i wezwijcie ducha św. aby was oświecił w przedstojącym a wpływowym zamyśle. Macie obrać wójta. Czyn ważny i przez Boga przed obliczem prawa nakazany. Jakiegoż wam wójta potrzeba? Naturalnie takiego, któryby znał kodeks, prawo, jurisdykcye i pałaty. Zastanówcie się dobrze, kto to wszystko najlepiej między wami zna, kto w potrzebie będzie umiał oprzeć się nawet o Petersburg? Takiemu mecenasowi oddajmy głosy.

— Kobus! Kobus! — odezwały się krzyki licznej.

Widząc, że szala przeważa się stanowczo na stronę szalbierza i uważając, że najwłaściwszym kandydatem był uczciwy i rozumny Dziurkowski, poczułem nagle chęć przemówienia. Gdym poprosił o głos, wszyscy na mnie spojrzeli zdumieni.

— Panowie — rzekłem — jakkolwiek nie mieszkam z wami, jestem tu urodzony, dotąd w tutejszych księgach ludności zapisany, a nawet posiadam w tej gminie kawałek gruntu po moich rodzicach. Wszystko to daje mi prawo do udziału w waszych obradach. Otóż naprzód ostrzegam was, że ten pan, co przed chwilą prawił, zasypywał wam oczy wyrazami, których sam nie rozumie. Wójt nie potrzebuje znać żadnych kodeksów i jurisdykcyj, lecz tylko przepisy administracyjne, nadewszystko zaś powinien być człowiekiem rozumnym, prawym, nieprzekupnym, o interesy gminy dbałym. Pokątni adwokaci nadużyją waszego zaufania, strwonią wasze pieniądze, uwikłają was w kłopoty bez końca. Wybierzcie zatem człowieka z czystem sumieniem, z jasną głową, a takiego pośród siebie znajdziecie. Szerzej od was świat oglądałem, lepiej rzecz pojmuję, rzetelniej też wam radzę.

Podczas gdy, wskazawszy kilkakrotnie wzrokiem na Dziurkowskiego, sądziłem, żem pomógł biedakowi i choć w ten sposób wynagrodził zawód miłosny jego córce, ze zgromadzenia dobył się chóralny krzyk:

— Wrzoskiewicz wójtem! Wybieramy Wrzoskiewicza!

Osłupiałem. Jakto — mnie wójtem wybrano? Waryactwo!

Zanim oprzytomniałem po tym wyniku mojej przemowy, gdy wyborcy rzucili się do ratusza dla spisania protokółu.

— Panowie!... Dziurkowski! Ja odjeżdżam.

Ale nikt mnie nie słuchał; tylko Kobus ryczał śród kilku swych popleczników:

— Do Izby — do departamentu pójdę, a obelg nie daruję. To się musi oprzeć o Petersburg.

Trzeba było niedorzeczności zapobiedz. Poszedłem do naczelnika.

— Proszę pana, ja tego wyboru nie przyjmuję, przyjąć go nie mogę.

— Niech pan złoży piśmienne podanie i wymotywuje swoją odmowę.

— A sama moja wola nie wystarcza?

— Nie, boś pan przemawiał i występował jako kandydat.

— Bynajmniej.

— Nie trzeba było się odzywać.

Ostatecznie wskazano mi formę zrzeczenia się. Napastowany przez rozmaite deputacye, które mnie do przyjęcia urzędu skłaniały, uciekłem z W. wprzód, niż zamierzałem.

Dalszy ciąg wszakże tej sprawy bardzo mnie zajmował. W kilka miesięcy odebrałem list od ciotki, która mi donosiła: „Wójtem wybrano Szustkiewicza.“

Przyznajcież mi, że o takim wypadku nie śniło się żadnemu filozofowi i że u nas odezwawszy się do rozsądku wyborców łatwo zostać wójtem.

K. Wrzoskiewicz.

cechuje. Postaram się dowieść tego, zdając sprawę z dwóch kongresów: z kongresu stowarzyszenia wyżej wymienionego i z kongresu *Ligi pokoju*, który w dniach 6, 7 i 8 września odbył się w Genewie.

Kongres berneński i kongres genewski ściśle są ze sobą związane z tego powodu, że „Stow. międzynarodowe pokoju i sądu polubownego“ jest dzieckiem „Ligi pokoju.“ Z niej się ono wyłoniło i w ślady jej weszło. Założyciel Stowarzyszenia p. Hodgson Pratt, niegdyś członek komitetu centralnego Ligi, członkiem jej pozostał, ale z komitetu wystąpił i stowarzyszenie osobne zawiązał dlatego głównie, że przewodnik Ligi, p. Karol Lemonnier, czuje wstręt nieprzełamany do praktykowanych w czasach naszych sposobów stawiania wszelakiego rodzaju przedsiębiorstw na widoku, mianowicie, do reklamy. Dzięki temu wstrętowi Liga straciła rozgłos, jaki posiadała przed laty — z widnego zdaleka płomienia stała się światełkiem, którego szukać potrzeba. Hodgsonowi Pratt zawadzała skromność taka. Zawiązał stowarzyszenie w Londynie, rozgłosił je szeroko i na listę członków wciągnął kilkaset znakomitości, wziętych ze wszystkich narodów europejskich i amerykańskich, ześrodkowawszy program stowarzyszenia swego na jednym punkcie, na punkcie sądu polubownego. Postawił to sobie jako cel główny stowarzyszenia, jako zadanie, które rozwiązać usiłuje od lat pięciu już czy sześciu i Liga i którem zainteresować już potrafiło dwa państwa: Stany Zjednoczone i Szwajcaryę. Traktat sądu polubownego pomiędzy państwami temi oczekuje tylko na zgodę parlamentarną. Stowarzyszenie Hodgsona Pratt popiera dalej z energią angielską sprawę sądów polubownych: wytaczając ją przed trybunał opinii publicznej, agitując w prasie i zwracając się z nią do rządów. Kongres sierpniowy w Bernie był jednym z objawów usiłowań, mających na celu ugruntowanie w umysłach i przekonaniach tej idei, że wojny pomiędzy państwami zażegnane być mogą za pomocą trybunału międzynarodowego. Na kongresie tym wypadkowo wniesioną została sprawa zneutralizowania Alzacyi i Lotaryngii i usunięcia w ten sposób owej kości niezgody, która, gdyby nadal pozostawioną była w stanie, w jakim się obecnie znajduje, sprowadzić musiałaby wojnę pomiędzy Niemcami a Francyą. Obecnie na obradach niemcy zaprotestowali przeciwko temu i nie dopuścili rozprawy wyczerpującej.

Kwestya ta przeniosła się do Genewy, na kongres Ligi, która ją—i ją tylko wyłącznie — miała na porządku dziennym obrad tegorocznych. Niemcy nie przybyli, pómimo że wezwani zostali. W obradach udział wzięli szwajcarowie, francuzi, włosi, alzatczycy, członkowie Ligi i przedstawiciele kilkunastu towarzystw pokoju, istniejących na obu półkulach — trzydzieści kilka osób. Rezultat był z góry do przewidzenia. Kongres Ligi uchwalił jednogłośnie wniosek, domagający się dla Alzacyi i Lotaryngii swobody orzeczenia, czy kraje te chcą należeć do Francyi lub Niemiec, albo też istnieć jako państwo niepodległe, pod warunkiem, w każdym razie, stanowienia gruntu ściśle neutralnego.

Uchwała ta, rozpatrując się w niej uważnie, nie jest tak do urzeczywistnienia trudną, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Alzacya i Lotaryngia, w obecnej zwłaszcza chwili, wobec zamiarów kolonialnych, dla przeprowadzenia których Niemcom potrzebną jest swoboda ruchów, stanowią dla gabinetu berlińskiego kulę u nóg. Odczepienie tej kuli jest w Berlinie rzeczą bardzo pożądaną. Świadczą o tem dużo broszury, wydane w tych dniach na rachunek „funduszu gadzinowego:“ jedna p. t. „Odwet prawdziwy“ (*La vraie revanche*), druga — „Hajże na Anglię“ (*Sus à l'Angleterre*). Pierwsza z nich rozdawaną była *gratis* członkom kongresu w Genewie. Obie podają zarys przyszłego uregulowania stosunków międzynarodowych na podstawie zwrotu Francyi bądź w całości, bądź w części prowincyi, traktatem frankfurckim od niej oderwanych, i podziału Europy na łacińską, niemiecką i słowiańską pod przewodnictwem Francyi, Prus i Rosyi, a pod warunkiem unicestwienia Anglii. Broszury te stanowią ilustracyę do obecnych gabinetu berlińskiego zabiegów pokojowych, od których Anglia trzymaną jest zdaleka. Stanowią oni kropki nad *i*. Niemcy by się z ochotą Alzacyi i Lotaryngii pozbyły, byle z zyskiem donośnym. Rzecz prosta, w tym punkcie zamiary i widoki gabinetu berlińskiego rozchodzą się z zamiarami i widokami Ligi. Tej ostatniej chodzi o zyski także, ale o te, które zapewnia pokój, oparty na sprawiedliwości międzynarodowej, obcej gwałtom, chociażby gwałty osłaniały się racyami stanu najsubtelniejszemi. Uchwaliła zneutralizowanie Alzacyi i Lotaryngii w tym celu, ażeby prowincye te stały się łącznikiem pomiędzy neutralną Belgią i neutralnym Luksemburgiem z jednej, a neutralną Szwajcaryą z drugiej strony i sformowały pas, rozdzielający kogucie zapędy Francyi względem Niemiec i odwrotnie. Racyonalność propozycyi tej polega na doświadczeniu dziejowem, wykazującem, że tryumfy wojenne żadnego jeszcze mocarstwa nie zabezpieczyły przeciwko upadkowi. Wojna wojnę wywołuje, sprowadza klęski i doprowadziła ostatecznie do pokoju zbrojnego, brzemiennego olbrzymią wszecheuropejską ruiną ekonomiczną. Na ruinę tę znaleść się *musi* środek zaradczy— w czem? Dostojni rozporządziciele funduszów gadzinowych upatrują środek ów w obdarciu Anglii na rzecz Francyi, Niemiec i Rosyi—w zneutralizowaniu Alzacyi i Lotaryngii. Jedno jest na dzisiaj i drugie na dzisiaj; na przyszłość zaś pierwsze przedstawia się jako punkt wychodni wojen bez końca i ruin bez granic, drugie — jako rękojmia pokoju, jeżeli nie odrazu powszechnego, to rzeczywistego w Europie środkowej, pomiędzy dwoma mocarstwami, dającemi przykład i powód trudniejszego z dniem każdym do znoszenia pokoju zbrojnego.

Czy jest to rzecz niemożliwa — utopia? Zapewne — jest to utopia, taka sama, jaką był Czerwony Krzyż lat temu dwadzieścia jeden. La Rochefoucauld w swoich *Maksymach* powiada: *Il y a peu de choses impossibles d'elles-mêmes, et l'application pour les faire réussir nous manque plus que les moyens* *). Liga, jeżeli nie wyłomem, to wyłomkiem pochwalić się może: za sprawą jej stanął traktat pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Szwajcaryą—to jedno; w obradach jej za pośrednictwem listów biorą udział mężowie stanu tego kalibru, co p. Gladstone i lord Granville—to drugie; w roku obecnym kongres w Bernie otworzył członek rządu federalnego p. L. Ruchonnet, kongres w Genewie—prezydent rzeczypospolitej genewskiej, p. E. Gavard. Tego dawniej nie bywało. Fakty te uważać można jako znak, że usiłowania jej, mimo przekąsy powag różnych, zyskiwać zaczynają uznanie w sferach, nie mających zwyczaju utopiom hołdować. Wyłomek się rozszerza,

T. T. Jeż.

*) „Mało jest rzeczy samo przez się niemożliwych i dla osiągnięcia powodzenia braknie nam bardziej pilności, aniżeli sposobów.“

Z GALICYI.

Lwów, 20 września.

Pogląd ogólny na stan pobożności. — Zatarg dominikanów z Rzymem. — Nieco o żywocie klasztornym. — Prawowierność prasy. — O co właściwie chodzi. — Sejm. — Dzlury i łaty. — Brak odwagi do większych przedsięwzięć. — Uchwała o zniesieniu „chederów.“ — Sprawy ekonomiczne. — Kasy pożyczkowe. — Brak kontroli nad niemi. — Wniosek Hausnera. — Czem się chwyta stańczyków na wędkę.—Łza współczucia.

Powiadają, żeśmy zobojętnieli dla religii, ale to fałsz. Kosztem publicznym restaurują się kościoły podupadłe, profesorowie uniwersytetu chodzą z berłami w procesyach obok księży, sejm nie rozpocznie obrad bez wysłuchania wotywy, rada miejska stolicy kraju funduje figury rozmaitym świętym ludziom i czekać tylko, rychło nałożą podatek na tych, co nie bywają na nieszporach. Prasa też notuje wszystkie nazajutrz odbyć się mające nabożeństwa i kazania, obecnie zaś, aby złożyć nowy dowód swej prawowierności, ujęła się gorąco za Rzymem, gdy dominikanie tutejsi bunt podnieśli przeciwko rozporządzeniom zwierzchniej władzy kościelnej. Sprawa to jest wewnętrzna między mnichami a ich generałem i jako racyonaliście (ob. *Przegląd powszechny*), nic mi do niej właściwie. A jednak wytaczam ją przed *forum* wasze, co czynię tylko z osobliwszej sympatyi do tego zakonu, który umiłowała sobie przedewszystkiem płeć nadobna. Jak przodkom bowiem naszym najmilszą była kompania bernardynów, tak znów małżonki ich ze szczególniejszym lgnęły zawsze afektem do dominikanów.

Owo i odbiegam od przedmiotu, a mam wam opowiedzieć rzecz w dawnych czasach, co prawda, dosyć zwykłą, ale w dzisiejszych niebywałą — bunt mnichów. Dominikanie nasi nie należeli nigdy do fanatyków religijnych, ascetyzm pozostawiając tym, których do niego zachęcali. Poucza o tem dokładnie broszura, wydana w Berlinie przed kilku laty. Autor jej — eksdominikanin lwowski, — niema dostatecznego zasobu słów na pochwałę tutejszego konwentu. Jadło się i piło — powiada—aż habity pękały, a parafianki tak tam już przywykły do skromności w wymaganiach, że im przez myśl nawet nie przejdzie namawiać księdza do wystąpienia z zakonu i wiązania się ślubami małżeńskimi... Pełna szczerości pochwała poszła jednak ojcom widocznie nie w smak, skoro wykupili trzy nakłady broszurki, czwartemu dając już pokój, gdy spostrzegli, że daremna ich praca tylko autorowi, czy księgarzowi korzyść niesie. Tymczasem wieści o zbytświeckim sposobie życia mnichów doszły i do Rzymu, który przysłał tu właśnie delegata swego, ks. Anselmiego, mającego zakon zreformować, czyli, mówiąc językiem rzymsko-katolickim, poddać *obserwie*. Jął ten *pater delegatus* nowe porządki zaprowadzać, skromność w jadle i napoju nakazując i czystości obyczajów przestrzegając. Zabrał też przedewszystkiem *omnia*, cokolwiek znalazł gotowizny przy ojcach, to nawet, co *secum in faldis habitorum portarunt*, i odesłał do Rzymu, który także przecież żyć z czegoś potrzebuje. Tu się już jednak przebrała miara cierpliwości dobrodziejów. Założyli *veto* i odmówili przyjęcia obserwy, apelując podobno aż do samego papieża. Wszyscy też teraz ciekawi niezmiernie, jak się to skończy, zwłaszcza, że mnisi zajmują ciągle stanowisko „o-wa, co mi zrobisz!“ — nie bacząc na to, że prasa stanęła po stronie Rzymu. Polityka dzienników nie dziwi mię zgoła. Jużciż kto popierał reformę bazylianów przez jezuitów, musi dla konsekwencyi zgodzić się na to i przez palce patrzeć, gdy włosi i niemcy wywożą pieniądze z kraju. Z ogromnych tych zasobów mały wprawdzie, ale zawsze jaki taki był pożytek, bo klasztor utrzymywał czteroklasową szkołę miejską. Tylko *Kuryer lwowski* i *Reforma* wystąpiły, bardzo nawet namiętnie, przeciwko rzekomej obserwie, która—zdaniem pierwszego z tych pism — jest tylko „czystą spekulacyą finansową i niczem więcej, obrachowaną na podszycie się cudzym groszem w kłopocie pieniężnym...“

Gdyby to kraj miał się czem tak podszyć, to by sejm nie deliberował pewno i nie zwieszał tak smętnie stu pięćdziesięciu głów swoich! Jest zaś myśleć nad czem! Oto stara sesya została już zamknięta i poczęła się nowa. Wydział zaś krajowy rozdał czemprędzej posłom preliminarz budżetu na r. 1885, żądając podwyższenia dodatku krajowego z 27 centów na 32 do guldena podatku rządowego. Chodzi zaledwie ó 5 centów, a jednak straszna to zawsze rzecz i zacięta walka w sejmie, gdy przyjdzie podnieść podatek choćby o jeden krajcar tylko. Naród się bowiem skarży na przeciążenie daninami nie od dzisiaj, życząc autonomii, aby ją dyabli wzięli, choć nie ona temu winna. Tu właśnie okazuje się najlepiej brak odwagi i siły do większych przedsięwzięć. Zamiast—jak radzą niektórzy — zaciągnąć znaczniejszą pożyczkę i pobudować odrazu potrzebne szkoły, drogi, mosty, szpitale itd. — sejm woli biedzić się co roku i biedę tę łatać rozmaitymi dodatkami krajcarowymi, które, niewiele pożytku przynosząc, tylko niezadowolenie wywołują między ubogim ludem. Faktem zaś jest, że, rozłożywszy spłatę pożyczki na lata, dodatek na potrzeby krajowe nie wyniósłby więcej, niż dzisiaj. Bo proponują właśnie, aby amortyzacyę długu rozdzielić na szereg lat tak, iżby i następne pokolenie go spłacało, co byłoby rzeczą wcale godziwą. Skądżeż bowiem my przychodzimy do tego, aby pobudować i stworzyć odrazu wszystko aż do zupełnego zasobów naszych wyczerpania? Budujmy i twórzmy—zgoda, ale niech też potomkowie nasi choć w części przyczynią się do pokrycia kosztów tej budowy, z której oni właściwie dopiero korzyść mieć będą.

Z prac sejmowych podnosić tu mogę rzeczy tylko co ważniejsze. Zaliczam do nich przedewszystkiem uchwałę o zniesieniu *chederów* żydowskich, którą zapisał sobie sejm bardzo piękną kartę w mdłych zresztą dziejach swoich z lat ostatnich. Imieniem komisyi edukacyjnej zdawał sprawę poseł Romanowicz. Tyle się już o szkodliwości *chederów* narozprawiano w sejmie i po za sejmem, że wątpię, aby w kołach inteligencyi żydowskiej znalazł się bodaj jeden jeszcze zwolennik tej barbarzyńskiej instytucyi. U nas zwłaszcza stosunki w *chederach* są najokropniejsze — wychowańcy ich tępieją umysłowo i marnieją fizycznie, wcześnie natomiast stają się fanatykami religijnymi. Na ten smutny stan szkół żydowskich zwrócono tu baczniejsze oko dopiero przed laty dziesięciu, rząd rozciągnął nawet pewną kontrolę nad niemi, ale nie zdusił jądra złego. Podzieliwszy *chedery* na dwie kategorye, t. j. takie, w których wykładają wszystkie, albo tylko część przedmiotów, objętych planem szkół publicznych, i takie, w których prócz Talmudu niczego innego nie uczą — oddał pierwsze pod nadzór rad szkolnych, drugie pod kontrolę starostw. Władza administracyjna nie wiele jednak wgląda w te niedostępne jamy. Tym sposobem drugi, gorszy rodzaj *chederów* mnożyć się może i istnieje dalej bez przeszkody, wogóle zaś stan szkół żydowskich nie podniósł się ani trochę ponad poziom, na jakim stał przed laty dziesięciu. Wobec wymagań dzisiejszego systemu edukacyi istnienie ich dalsze staje się zatem coraz bardziej niemożliwem. Aby jednak nie wywoływać rozdrażnienia w ciemnych masach żydowskich i uniknąć zawikłań, komisya wniosła roztropnie, a sejm uchwalił, aby wprawdzie wezwać rząd do zniesienia *chederów*, ale tylko tych, które się nie zastosują do ustaw o prywatnych szkołach ludowych. *Chedery* zatem nie zostałyby właściwie zniesione, ale z gruntu zreformowane utraciłyby cechę swoją dzisiejszą niemal zupełnie. Sejm domaga się dalej u rządu, aby wezwał izraelickie gminy wyznaniowe do zakładania z funduszów na cele dobroczynne ochronek według zasad Froebla, zastąpić mające dotychczasowe jaskinie. Żąda wreszcie sejm, aby w szkołach, liczących większą ilość młodzieży izraelickiej, zaprowadzoną została nauka języka hebrajskiego i religii mojżeszowej. Uchwały to na czasie i życzyć tylko należy, aby rezolucyi sejmu rząd posłuchał i poczynił potrzebne kroki.

Ze spraw ekonomicznych zanotować mi wypada uchwałę w sprawie rozciągnięcia opieki nad chowem bydła rogatego. Wnioskodawca (pos. Struszkiewicz) położył główny nacisk na zbawienne skutki, jakie niesie podobna ustawa o podniesieniu chowu koni. Przyjętym został również wniosek Merunowicza, żądający — nie zniżenia, ale bodaj uregulowania cen soli dla bydła, którą, choć kraj dostarcza jej obficie, rząd, mający monopol w ręku, sprzedaje drogo. Cenę jej podnoszą nadto w dwójnasób handlarzo prywatni, chodzi więc o to, aby rząd pomnożył ilość magazynów swoich i zapobiegł w ten sposób nadużyciom. W rezolucyi wyrażono niemniej żądanie zniżenia kosztów transportu tego potrzebnego artykułu przynajmniej na kolejach państwowych.

Z obowiązku wspominać muszę i o sprawach upadłych albo niezałatwionych, a więc i o wniosku posła Wrotnowskiego, który domagał się zakładania powiatowych i filialnych kas pożyczkowych i oszczędności. Osobna komisya wykazała, że ze względu na obowiązujące ustawy o własności byłoby niemożliwem przelanie do takich kas majątków gminnych, które miałyby być ich kapitałem zakładowym. Nadto istnieje już wiele i powstają ciągle nowe kasy pożyczkowe i towarzystwa zaliczkowe, które czynią zbytecznem zakładanie przez kraj podobnych instytucyj. P. Wrotnowski jednak nie ustąpił, ale dowodząc, że majątki gminne są źle administrowane, mogłyby zaś być korzystnie użyte na poprawę ekonomicznego bytu ludności, zapowiedział ponawianie swego wniosku na każdej sesyi aż do skutku.

W związku z powyższym stoi dawny wniosek hr. Wodzickiego (Henryka), zmierzający do energiczniejszej kontroli gminnych kas pożyczkowych, których gospodarka — mimo różowego sprawozdania p. Smolki — pozostawia bardzo wiele do życzenia. Wnioskodawca proponuje środek radykalny: usunięcie kas pożyczkowych z pod zarządu gmin i oddania ich w administracyę autonomicznych władz powiatowych, co byłoby bezwątpienia rozwoju ich poręką znacznie silniejszą. Odnośna komisya, kierując się zasadą możliwie najmniejszego ograniczenia samoistności gmin, wygotowała sprawozdania w duchu wręcz przeciwnym żądaniu posła Wodzickiego i wniosła o przejście nad niem do porządku dziennego. W nieobecności wnioskodawcy ujął się za projektem poseł Abrahamowicz, którego przemówienie sprawiło, że wniosek odesłano napowrót do komisyi celem lepszego zbadania i ponownego zdania sprawy.

Kończąc list, przesyłam stańczykom wyrazy szczerego współczucia. Oto na wniosek Hausnera wybrał sejm komisyę do zbadania sławnego statutu kolei państwowych, o którym przysługuje nam prawo wypowiedzieć swoje zdanie i domagać się odpowiednich zmian na korzyść kraju. Wnioskodawca wytknął stańczykom nieuzasadnione ich twierdzenie, jakoby artykuły dziennikarskie i agitacya najwięcej zaszkodziły naszej sprawie, t. j. to, co wszystkim innym pomaga. „Przy najbliższej sposobności spodziewać się należy, że ta taktyka ciszy, tajemnicy i bojaźliwej ogledności nietylko będzie zalecaną, ale i stosowaną.“ Aby rozczulić stańczyków, wykazał mówca dalej, że interes kraju zlewa się w tym wypadku najzupełniej z interesem... państwa. Musiał ich jednak zapewne zniechęcić dalszem powiedzeniem, że „interesów zaś wyższych urzędników kolejowych popierać nie mamy powodu,“ bo wybraniu komisyi stawili opór tak zaciekły, że wniosek Hausnera przeszedł większością tylko czterech głosów. Ostatecznie stronnictwo rządowe zostało pobite mimo czytanej a słabej mowy hr. Tarnowskiego i wysunięcia na arenę walki b. namiestnika, hr. Potockiego. Biedni stańczycy — biedny *Czas*, który do chwili, gdy to piszę, nie utulił się jeszcze w płaczu!...

Rewera.

LISTY PETERSBURSKIE.

22 września.

Reforma uniwersytecka i komentarze dziennikarskie.— Praca p. Martensa o wszechnicy edynburskiej. — *Signum temporis.*

Reforma uniwersytecka, tak długo przebywająca w sferze ogólników dziennikarskich i więcej lub mniej prawdopodobnych wieści, od 1 września stała się faktem dokonanym, z którym się liczyć potrzeba, gdyż wywierać on odtąd będzie wpływ niezaprzeczony na rozwój umysłowy społeczeństwa rosyjskiego. Nowa ustawa jest rezultatem walki dwóch kierunków, dwóch zasad: centralizacyi i samorządu z przewagą jednak stanowczą pierwszej. Zarząd gospodarczy, finansowy, a nawet sądownictwo uniwersyteckie będą w zupełnej zależności od kuratora okręgowego, a nie od ciała profesorskiego, które jako osoba prawna istnieć przestaje. Powien jednakże odcień dualizmu panuje w reformie wykładu nauk, urządzonego na sposób niemieckich semestralnie i bez egzaminów rocznych, naturalnie ze zmianami w duchu centralizacyjnym. Tak, wykład nauk ma się odbywać według planów, zatwierdzonych przez kuratora, chociaż układanych przez radę wydziałową; prywat-docentem może zostać każdy, posiadający stopień naukowy, ale także za zezwoleniem kuratora, nakoniec profesorów wyznacza także władza centralna. Szczególnie bacznie unikano wszelkich wyborów; nawet dziekanów, nie mówiąc już o rektorze, mianuje kurator, jak również członków komisyi egzaminacyjnych, przed którymi trzeba składać egzamin ogólny dla otrzymania dyplomu.

Nie mam zamiaru rozbierać nowej ustawy (zastosowanej zresztą tylko do Cesarstwa), gdyż, pomijając już różne względy uboczne, prawdziwe jej znaczenie dla nauki okaże się dopiero po pewnym przeciągu czasu w mniej lub więcej praktycznych skutkach, teraz zaś przesądzać tego niepodobna. Nie będę także powtarzał głosów prasy codziennej rosyjskiej, przepełnionej komentarzami o nowej reformie i przypisującej sobie nawet współudział w tworzeniu ustawy obowiązującej. Piszą, co prawda, dużo, wszelkie jednak te pisaniny nie na wiele się przydadzą dla rozjaśnienia kwestyi. Pochodzi to stąd, iż interes nauki, który w kwestyi uniwersyteckiej, bądź co bądź, na pierwszym planie stać powinna, we wszystkich dziennikach rosyjskich odgrywa rolę pokaźnego szyldu. Właściwie bowiem chodzi o politykę wewnętrzną. Gazetom liberalnym podoba się więcej dawna ustawa.

W. Ż.

O NIEKTÓRYCH PROGNOSTYKACH.

II.

Przypomnijmy sobie teraz stan człowieka, który wobec przyszłego i oczekiwanego wypadku jest zupełnie bezsilnym i nie ma istotnych warunków, lub leżą one po za

sferą jego możności oddziaływania; z drugiej strony, dręczony obawą lub żądzą, jakkolwiek stara się wyjść z nieznośnej niepewności, wpada w niezwykłą czułość, wypatruje i wysłuchuje najlżejszy szmer, który mu coś o losie jego zwiastować może. Dla niedostępności innych, baczność jego ogranicza się do warunków wypadku podrzędnych. Ciąg ich normalny, jako w zwykłym porządku będący, mija niepostrzeżony i do żadnych wniosków materyału nie daje, ale niech bieg ten na punkcie, mającym jakikolwiek związek z oczekiwanym wypadkiem, zboczy ze zwykłej kolei, wtedy dopiero, na mocy prawa o powstawaniu świadomości ze zjawienia się różnicy, zboczenie owo uświadomi się w umyśle. Wnet też czynnem się okaże owo wciąż tkwiące, jakkolwiek bezwiedne skojarzenie, dowodzące łączności między małemi wadami, a wielkiemi zawodami. Nic to nie znaczy, że nie chciał odmienić dziurawych butów dla tego, że w nich zdawał pomyślnie poprzednie egzamina.

Otóż podstawowym, jakkolwiek wyraźnie nie wypowiadanym argumentem człowieka, wyciągającego prognostyk, jest prawdziwe w zasadzie uogólnienie, że *małe niedokładności przyczynowo pociągają za sobą chybienie głównego celu*. Jak widzimy, istnieje tutaj utajone przeświadczenie przyczynowości.

Jednakże w procesie wytwarzania wróżb obok tej współdziała jeszcze inna zasada. Jest to mianowicie *wiara człowieka w niezmienność i jednostajność zjawisk*. Wiara ta ma głębokie korzenie w naszej organizacyi i doświadczeniu; z jednej strony jest ona fundamentem i postulatem wszelkiej nauki, z drugiej — nieujęta w żadne karby—daje początek mnóstwu niedorzecznych twierdzeń i zabobonów. Nic przeczy jej wcale rozpowszechniona wiara w cuda, jest tu ona bowiem neutralizowaną przez inne silniejsze czynniki. Natomiast widzimy ją wszędzie, gdzie przeciwdziałania nie znajduje. Dość będzie następujących faktów. Spotkawszy człowieka po wielu latach rozłąki, doznajemy pewnego rodzaju zdziwienia, znajdując, że się odmienił; a więc oczekiwaliśmy i uważalibyśmy za naturalne, zobaczywszy go takim, jakim był niegdyś. W sądach naszych o przyszłości tem zwykle grzeszymy, że większość obecnych czynników przyjmujemy za niezmienne i w następstwie: skąd błędy wyjść muszą do rachunku. Wreszcie, ileż razy słyszymy mówiących: „ja nie mam nigdy szczęścia i teraz się niczego dobrego nie spodziewam.“ Jest tu wszędzie przypuszczenie, że co się zdarzyło, zdarzy się i drugi raz i zawsze, albo przynajmniej w pewnym przeciągu czasu, jak to niektórzy wyrażają: „nie mam *dzisiaj* szczęścia, zacznę robotę jutro.“ Otóż niechaj człowiekowi, który z kabały nawet albo ciągnienia węzełków dostateczne znaleść może zapewnienie o nastąpić mającym niepewnym wypadku, wydarzy się w danym czasie coś niepomyślnego, a wnet dla rozstrzygnięcia trapiącej go niepewności przyjdzie z pomocą mniemanie o jednostajnym biegu zjawisk i powie on sobie: „nie udało mi się jedno, a więc nie uda się drugie“ i z pierwszego wyciągnie niepomyślny prognostyk o drugim. Drugi ten czynnik, składający się na powstawanie wróżb, po części działa wspólnie z pierwszym i w tym razie wydaje prognostyki tylko takie, w których wedle pierwszej zasady o zależności wypadków większych od drobnych, dopatrzyć się można jakiegoś dalekiego związku przyczynowo; niekiedy jednak występuje i samoistnie, każąc wyciągać wnioski ze sfery zupełnie odrębnej od tej, do której należy cel wyczekiwany.

Mówiliśmy, że za wróżbę branem bywa zboczenie od zwykłego biegu wydatków i to zboczenie ujemne, niepomyślne; chociaż gdybyśmy wróżbitę przyparli, przyznać by musiał, że jeśli z chybienia drobnej okoliczności złe zapowiada, to udanie się jej powinien ogłosić za wróżbę dobrą. Ale logika najmniej ma do czynienia w tej sprawie, i nikt też należytego, bez przeszkód dokonanego opakowania lekarstwa za dobry prognostyk nie weźmie. Do takich drobnych powodzeń zanadtośmy przywykli i utracili na nie wrażliwość; trzeba, żeby się coś rzucało w oczy, różnicowało i budziło świadomość. Otóż i drugorzędne okoliczności pomyślne posłużyć mogą za wróżbę, jeśli tylko wyskakują nad powszedni poziom i są niespodziewane, np. jeśli ktoś, uczuwszy się słabym, zamierzył posłać po lekarza, a ten w tejże chwili sam się zjawia. Jednakże takie niespodziewane zbiegi okoliczności, zdarzenia przekraczające prawdopodobieństwo i nieproporcyonalne do wyłożonych usiłowań, zachodzą stosunkowo rzadko, bez porównania rzadziej, aniżeli zboczenia ujemne, upadnięcia, stłuczenia, zapomnienia itp. Stąd też, nie posiadając nawet liczebnego wykazu, orzec możemy *a priori*, że repertuar złych prognostyków o wiele przewyższa liczbę dobrych. Że tak jest, zdaje się nie ulegać wątpliwości, jeżeli nie weźmiemy pod rachubę przepowiedni gospodarskich i senników, które tworzyły się w odmiennych warunkach i są już to rezultatem wierzeń religijnych, już wyrobem rubasznej fantazyi.

Taki jest zatem charakter zjawisk poprzedzających, przyjmowanych za wróżby. *Są to wogóle drobne zboczenia od normalnego biegu rzeczy, zboczenia, które na ogół wypadków słusznie służyć by mogły za zapowiedź chybienia głównego skutku.* Jakkolwiek ta prawdziwa zasada daje niejakie usprawiedliwienie wróżb i po części rozgrzesza błądzący umysł, wszakże niektóre z nich są tak chimeryczne, a związek ich z głównym skutkiem tak dalekim, że dla wyjaśnienia ich powstania koniecznie wziąść trzeba pod uwagę subjektywne warunki ducha.

Wspomniane uczucie niepewności, którego człowiek bądź co bądź stara się pozbyć, tłomaczy zaledwie wogóle powzięcie jakiegoś określonego uczucia nadziei lub zwątpienia, ale nie wyjaśnia, dlaczego wybieramy jedno raczej, niż inne. Przewaga zboczeń ujemnych nad dodatniemi jest równie przyczyną niewystarczającą. Jedno i to samo zboczenie w biegu rzeczy zewnętrznych na dwóch ludzi, będących w jednakim stopniu natężonej niepewności, niejednakowe wywrze wrażenie, równie jak na jednego człowieka w różnych chwilach jego życia. To nas skłania do przyjęcia w człowieku pewnej predyspozycyi do przewidywania złej lub dobrej przyszłości. Niewielu jest ludzi, których sercowa ważka na obu szalach równie by czułą była. Ludzie tacy, jeśli istnieją, kierować się będą w przewidywaniu przyszłości tylko danemi, otrzymanemi z zewnątrz, mniejsza o to, czy zgodnie z wymaganiami rozumu. Najczęściej jedna z szalek posiada własny ciężar, ku jednej stronie ją przechylający: bardzo mało potrzeba, aby ją ostatecznie z równowagi wybić; tem trudniej też druga szala na przeciwną stronę chwiejące się uczucie przeciągnąć może.

Usposobienie to do złych lub dobrych przeczuć względnione już było w dawnym podziale temperamentów na melancholiczne i sangwiniczne, a znalazło bardziej umiejętne uzasadnienie w nowszej klasyfikacyi. Odróżniamy wogóle temperament uczuciowy albo emocyonalny, ściśle związany z fizyczną organizacyą człowieka, specyalnie zaś niektórych narządów. Odznacza on się wielką przystępnością i wytrzymałością dla wrażeń przyjemnych, szuka ich i nigdy się niemi nie nuży: poznajemy go po towarzyskości, serdecznem obejściu, ciągłych zachwytach, z drugiej strony opiera się mocno wszelkim wpływom nieprzyjaznym: nie jest on stworzonym do cierpień, z trudnością się zasmuca i łatwo wesołość odzyskuje. Jest on po większej części lekkomyślny i nieoględny na przyszłość, którą widzi w jasnych kolorach. Ażeby cierpienie, upadek ducha znalazły przystęp, muszą one zachwiać i osłabić narządy uczuciowe, gdy te zaś są silne, człowiek skutecznie opierać się będzie wrogim wpływom i wesoły nastrój mniej więcej uporcie zachowa. Uczucie zadowolenia przejmuje całą sferę duchową i odpędza wszelkie wrażenia, z naturą jego sprzeczne; w tym stanie zwracając się do świata zewnętrznego lub wewnętrznego dostrzega w nim to tylko, co godzi się z obecnym stanem i zaspokaja panujące uczucie zadowolenia. Stron przeciwnych albo wcale nie dostrzega, albo dostrzegłszy, nie będąc nawet zdolnym ich pojąć, pomija bez uwagi. Fakt ten w rozmaitych przejawach niejednokrotnie obserwować się daje. Wiadomo, że uprzedziwszy się względem kogoś korzystnie, widzimy w nim tylko dobre strony: być też może, iż krytycy, dający tak sprzeczne opinie o odczytach publicznych, zupełnie w dobrej wierze dostrzegają i pamiętają to tylko, co mówić może na korzyść prelegenta z ich własnego obozu. Pokrewne zjawisko znajdujemy i w tym wypadku, kiedy, zamierzywszy coś odnaleść w spisie rzeczy lub katalogu księgarskim, albo kiedy szukamy w tłumie osoby znajomej przebiegamy szybko i bez uwagi mnóstwo nazw i twarzy obojętnych, zatrzymujemy się dopiero na nazwie lub osobie poszukiwanej: nie umielibyśmy też nie powiedzieć, ani rozpoznać później owych nazw i osób obojętnych, które przecież tak samo jak i drugie na nasz zmysł wzroku działały. Jest to wieloznacząca analogia.

Otóż człowiek o temperamencie emocyonalnym, zwracając się do przyszłości, przenosi w nią obecne uczucie zadowolenia i przypuszcza tylko takie zdarzenia, które uczucie owo wytworzyć i nasycić są zdolne; w teraźniejszości zaś istnieć dlań będą tylko zjawiska, wspierające jego nadzieję i dające się pogodzić ze spodziewanym wypadkiem. W człowieku współcześnie istnieć nie może uczucie przyjemne i przykre. Jeżeli panuje pierwsze, a zajdzie wypadek, który koniecznie obudza drugie, i to tak, że bez tego uczucia, jakby bez swego cienia w świadomości pojawić się nie może, to oczywiście dostępu on nie znajdzie do danej świadomości, przyjemnem uczuciem opanowanej. Więc odwrotnie człowiek chwytać będzie skwapliwie wszelkie oznaki, dobry skutek zwiastujące, mniejsza o to, rozumne czy urojone. Każdą wróżbę dwuznaczną wytłomaczy pomyślnie i zadziwiać nas będzie wynajdywaniem jasnych stron przedmiotu; wszystko zaś, co obwieszczać może przyszłość złowrogą, wszelkie złe prognostyki mijają dlań niepostrzeżenie, a jeśli zbyt się już oczom nasuwają, to w żadnym razie stanowczo przygnębiającego wpływu nie wywrą. Uczucie, jakie się ze złemi prognostykami wiąże, zbyt jest dalekie od stanu zadowolenia, stan ten zbyt jest trwały i w organiźmie samym zakorzeniony, aby dał się zamącić: człowiek taki nie jest stworzony do nieszczęścia a tem mniej jeszcze, by o nieszczęściu myśleć i przewidywać je. Nad złym prognostykiem bynajmniej nie zastanawia się, nie pojmuje go, uniesiony wzbierającym potokiem wiecznej radości, wnet przechodzi do porządku dziennego nad tem, co drugiemu na długo spokój umysłu by odebrało.

Wszystko, cośmy powiedzieli o temperancie emocyonalnym, z odwróceniem terminów da się zastosować do przejawów temperamentu przeciwnego, który nazwijmy melancholicznym, jakkolwiek nazwa ta nie zupełnie rzeczy odpowiada. Wątły stan organów uczuciowych pociąga dwa skutki: nieprzystępność dla uczuć przyjemnych i pobudliwość na wrażenia przykre, słaby organizm nie zdolnym jest wytrzymać pierwszych, ani oprzeć się drugim.

Dwa te temperamenty rzadko spotykają się w życiu w całej czystości; człowiek konkretny zwykle jest jednym i drugim po trosze i nie tym samym w różnych chwilach życia. Od tego, jaki w danym razie nastrój w nim panuje, zależyć będzie jego zachowanie wobec przyszłości i zapowiadających ją zdarzeń: odpowiednie zjawiska i procesy objawią się i tutaj w porządku, jakiśmy wyżej zaznaczyli. Dla uzupełnienia więc podmiotowej strony prognostyków pozostaje tylko wskazać okoliczności, wywołujące w danym osobniku nastrój uczuciowy lub melancholiczny. Należy tu przedewszystkiem ogólny stan zdrowia, organów trawienia, które, jak wiadomo stoją w ścisłej zależności z tak zwanym humorem. Dalej stan wypoczęcia lub utrudzenia: przeciętnie biorąc. po potrąceniu wpływów przypadkowych, rano ludzie są bardziej emocyonalni, pod wieczór stają się melancholikami. Wyobrazić sobie możemy stan człowieka, znajdującego się w punkcie obojętnym, podmiotowo równie skłonnego do oddania się jasnym złudzeniom, jak i gorzkiemu zwątpieniu: od pierwszego zdarzenia zdolnego *wogóle* wpływać na nastrój, zależyć będzie, jakie usposobienie zapanuje w nim na dłuższy przeciąg czasu. Powodzenie zbawiennie oddziaływa na fantazyę, wypręża nam ciało, przyśpiesza oddech, ułatwia i ożywia wszystkie ruchy ciała; bieg i kojarzenie się myśli odbywają się szybciej, a większa rozmowność w ludziach, nie umiejących się ukrywać, zdradza ich wewnętrzne zadowolenie: człowiek wpada w temperament emocyonalny. Jeden wypadek pomyślny wyprowadził go ze stanu obojętnego, rozjaśnił widnokrąg przyszłości, wlał w serce otuchę! Wrażenie przykre, zawód itp., wywołując zewnętrznie objawy mniej więcej odwrotne — ciężkość ruchów, opadnięcie głowy, specyficzne ściągnięcie muskułów twarzy, trudność myślenia i mowy, zdradza wewnętrznie ów stan smutku i przygnębienia, który jest właściwie przechodnim stanem melancholii.

Jeżeli dotąd człowiek stał niejako wyżej i niezależnie od zdarzeń mógł je sądzić objektywnie, był równie przystępnym dla prognostyków złych jak dobrych, a w zdolności przewidywania ograniczonym był tylko mylnem rozumowaniem, to odtąd do błędów logicznych przyłącza się w nim samym tkwiąca przyczyna, zasłaniająca mu oczy na jedne zjawiska, podniecająca wrażliwość na inne.

Tak więc człowiek źle trawiący, osłabiony pracą czy rozpustą, przygnębiony jednem nieszczęściem i zawodem, skłonnym będzie do przewidywania dalszych nieszczęść i zawodów. Tego jednak objawu mieszać nie należy z innym, o którym wzmiankowaliśmy wyżej, mianowicie z wiarą w jednostajność i niezmienność zjawisk. Wiara ta przeświadcza człowieka o pewnym porządku w świecie zewnętrznym, każe mu spodziewać się, iż dany wypadek nastąpi dlatego, że przedtem już raz zdarzył się podobny, gdy tymczasem człowiek nieszczęściem strawiony obawia się zawodów w przyszłości zupełnie niezależnie od tego, jaki porządek uznaje w przyrodzie; tam człowiek sądzi świadomie lub nieświadomie, tu działa czysto podmiotowo, czuje i boi się.

Widzimy przeto, iż, ażeby zdarzenie pewne wzięte było za dobry lub zły prognostyk, nie dość jest, iżby posiadało pewną zewnętrzną cechę, mianowicie, stanowiło zboczenie od normalnego biegu rzeczy, dodatnie — dla prognostyków dobrych, ujemne — dla złych; koniecznem jest jeszcze, aby człowiek podmiotowo usposobionym był dla postawienia owych zboczeń i wyciągania z nich tych lub innych przewidywań. Zachodzić może wiele zboczeń ujemnych, a ludzie o temperamencie silnie emocyonalnym, pewni siebie, zadowoleni w chwili obecnej i ufni co do przyszłości, przejdą koło nich spokojnie i bynajmniej za złą wróżbę ich nie wezmą. Rozstrzygającym więc czynnikiem jest nie zjawisko zewnętrzne, ale stan podmiotu, w wyciąganiu złych prognostyków — stan przygnębienia i melancholii. Wobec tego, jeśli, pomijając przepowiednie gospodarskie itp., okaże się, że ilość złych prognostyków przewyższa znacznie liczbę dobrych — a, o ile mi się zdaje, tak jest rzeczywiście — to można stąd wyciągnąć interesujący wniosek, ten mianowicie, że stan ducha, konieczny dla pojawiania się złych prognostyków t. j. stan przygnębienia, jest u ludzi wogóle, albo człowiek przeciętny przez większą część życia, czy to pod wpływem złego trawienia, czy nadmiernych wysileń, czy częstych zawodów, znajdują się w niekorzystnym nastroju ducha. Smutek, niepokoj i obawa byłyby w ten sposób naszym stanem normalnym.

Znaleźliśmy przeto następujące psychiczne czynniki, składające się na powstawanie prognostyków. Przedewszystkiem natężony stan umysłu, warunkujący odnoszenie wszystkich bieżących zdarzeń do panującego w danej chwili wyobrażenia przedmiotu oczekiwanego a niepewnego. Dalej, dwa stany intelektualne: bezwiedne skojarzenie, zawierające sąd o łączności i przyczynowej zależności drobnych przyczyn i wielkich skutków. oraz wiara w powtórzenie się tego, co raz się zdarzyło. Wreszcie powien stan uczucia i przewaga wewnętrznego zadowolenia lub przygnębienia ducha, które uspasabiają człowieka do zatrzymywania się nad niektóremi tylko zdarzeniami, i do wyciągania raczej tych prognostyków, niż innych, zdaje się— raczej złych niż dobrych.

J. W. Dawid.

LIBERUM VETO.

Za co nas nie lubią. — Dawne rozumowanie. — Nowy komentarz z *Niedyskrecyj*. — Jak się rozpływa po Europie opinia i jak się tworzy sympatya oraz antypatya. — Kongres i kongresiki ziemian. — Duch amerykańskiego Banku. — Gdzie ekonomiści? — Poważne niebezpieczeństwo. — Miecz nad służebnościami. — Łamanie ustawy włościańskiej. — Dróżki naokoło prawa. — Rodzenie się nowej kwestyi. — Dwa skrzydła. — Pociecha w zewnętrznem.

Kiedyś cieszyliśmy się śród ludów Europy szeroką sympatyą i rzeczywiście zasługiwaliśmy na nią. Wojenny animusz naszych przodków, dumna godność, skora gotowość do poświęceń, bezinteresowna polityka, cnoty rycerskie zjednały im daleko sięgające uznanie. Bo i gdzież był drugi Sobieski lub Zygmunt August, królowie wspaniałomyślni aż do nieroztropności? Z przymiotami nieopatrznego romantyzmu łączyliśmy wysoką stosunkowo oświatę i zupełną, często nawet rozkiełznaną swobodę. Widziano nas idących w pierwszych szeregach postępu, podziwiano naszą ogładną rycerskość i lubiono ją. Dlaczego nas dziś nie lubią — a nietylko ci, którym przeszkadzamy, ale i ci, którym nadwiślańskie jagnię nawet wody nie zamąci?

Dawniej na to pytanie odpowiadałem przypuszczeniem następującem:

Po prostu nie rozumiemy Europy. Przechowaliśmy w życiu swojem mnóstwo form i pojęć kopalnych, zabytków archeologicznych, które z obecnym stanem cywilizacyi pogodzić się nie dadzą. Nadmierna i do połowy sztuczna bigoterya, która niższe klasy zniedołężnia, ogłupia i rozleniwia, przenikające całą oświeceńszą warstwę żyłki wielkopańskie, które nie pozwalają społeczeństwu spoić się silnie i bezcześczą pracę; lekceważenie korzyści ekonomicznych, nieufność do nauki — oto są rysy znamienne, które nas ostro odcinają od innych narodów ucywilizowanych. Przeciętny polak wozi z sobą po świecie modlitewnik, herbarz i szkaplerz przeciwko dyabłu, kuszącemu go do zrywania owoców z drzewa wiadomości—jakże więc on może budzić dla siebie sympatyę? Nawet wtedy, gdy w zasadzie ma słuszność, oprawia ją w tak przestarzałe ramy, że one osłabiają jej siłę. Narodowość swą wywodzi z Watykanu, prawa z kronik, a nadzieje zawiera w miejscach cudownych. Wielu form pracy się wstydzi, a chce zyskać współczucie ludów, dla których ona jest najwyższym zaszczytem. Niewątpliwie, pozbywamy się i to bardzo szybko kastowych przesądów i nadętej pańskości, ale najświeższe nasze przemiany jeszcze nie zaznaczyły się za granicą, która z niedawnych wspomnień pamięta nas jako rozmodlonych, lekkomyślnych, z historyą w ręku procesujących się o swe prawa szlachciców, podkładających pod żelazne koła konieczności żółcią napojone gąbki i przekonanych, że tym sposobem ją powstrzymają. To opóźnienie się w społecznym i umysłowym rozwoju, ten daremnie protestujący a w tradycyi zagrzęzły upór pozbawił nas nawet przyjaźni ludów najbliżej spokrewnionych. Z wyjątkiem czechów nie możemy poszczycić się sympatyą ani jednego narodu słowiańskiego. Rusini w Galicyi nas nienawidzą, serbowie zaś, bulgarzy, słowieńcy itd. wcale prawie nami się nie zajmują. Gdy niedawno zabrzmiało hasło jedności słowiańskiej, my wysykaliśmy je złośliwie. Bo i cóż może być wspólnego między nami, mającymi za sobą dziesięć wieków bogatej historyi, a w sobie czystą krew szlachecką, z dziczą bulgarską, z pastuchami świń i owiec! Kiedyś Moltke powiedział, że niemców nikt w Europie nie lubi, tylko wszyscy ich się boją. Jest to fakt smutny dla narodu, który o miłość innych dbać nie potrzebuje i samą grozą się utrzyma. Ale ileż razy jest on smutniejszym dla drobnego społeczeństwa, które żadnego strachu nie budzi, a bez sympatyi obejść się może!

Tak rozumowałem dawniej. Nie zaprzeczając i dziś temu wywodowi słuszności, muszę go uzupełnić ważnym dodatkiem. Świeżo przeczytałem *Nowe niedyskrecye*, wspomnienia niemieckiego *attaché* przy ambasadzie paryskiej, dramaturga i publicysty, Wollheima da Fonseca. Autor opowiada wiele ciekawych rzeczy, zdradza wiele tajemnic, ale na szczególną uwagę zasługują jego odkrycia co do sposobu wyrabiania w prasie europejskiej — sympatyi Metoda bardzo prosta. Do wakującego literata zjawia się ktoś i proponuje mu pisywanie korespondencyj, doniesień, broszur w pewnym duchu. Ow duch przy umowie określanym bywa szczerze: „możesz pan wymyślać np. na francuzów, ile chcesz, a im więcej, tem lepiej; pożądanem jest również, ażebyś pan wykazywał z aparatem naukowym, że utrzymanie Turcyi jest niezbędnem, a Włochy nie mają racyi bytu; Beaconsfieldowi trzeba często żebra łamać; za to otrzymasz pan 100 marek miesięcznie stałej pensyi, oprócz honoraryum od dzienników, które dla umieszczania tych prac musisz sam sobie wyszukiwać.“ Chudy i głodny literat zwykle przyjmuje służbę, często nawet nie wiedząc u kogo, i zaczyna tworzyć opinię — sympatyę dla jednych antypatyę dla drugich. Jeżeli do tych drugich należą polacy, najęty publicysta, któremu zastrzeżono, ażeby używał „aparatu naukowego,“ bierze jakiś podręcznik historyi, wybiera z niego wszystkie nasze awantury sejmikowe i dowodzi niezbicie, że my—to naród oddawna zgniły, a obecnie rozpadający się. Bywa też przeciwnie i wtedy nam dostaje się jakieś „posłannictwo“ — np. „przedmurza.“ Warto wiedzieć, jak się ta opinia rozpływa po dziennikarskich arteryach Europy. Jedne pisma wsysają ją świadomie, inne bezwiednie. Przypuśćmy, że w Magdeburgu wychodzi gazetka, która nie czuje złości do pewnego narodu lub męża stanu.

Ale nadarza się jej tani i z pozoru dobrze poinformowany korespondent; bierze go i staje się przewodem jego płatnych kłamstw. Tak powstaje część „opinii europejskiej,“ jej nagłych sympatyj i antypatyj. Na wściekłe wybuchy złości takiej *N. Fr. Presse* mam teraz gotową odpowiedź: czytałem *Niedyskrecye* p. Wollheima da Fonseca.

Daleko trudniej załatwić się z Hamletowskiem pytaniem naszych ziemian: co robić wobec coraz groźniejszej konkurencyi zboża amerykańskiego? Być, czy nie być? Znaleźli się już odważni, którzy gospodarstwu rolnemu podszepnęli: nie być i wskazali mu przemysłowe; ale ponieważ łatwiej komenderować, niż bić się, więc *Kuryer warszawski* zwołuje „kongres“ ziemiański. Jedno wszakże z pism prowincyonalnych, słusznie obawiając się, ażeby ów kongres nie przeszedł bezpłodnie, radzi przygotować dlań materyał przez kongresiki prowincyonalne. Oba pomysły godne są poparcia i urzeczywistnienia, bo czas już, ażeby ziemianie nasi wyszukali drogi ratunku przed niebezpieczeństwem, które im grozi niechybną ruiną. Można przypuszczać nawet, że władze nie przeszkodziłyby owym zebraniom przez wzgląd na zagrożone interesy kraju, którego stan ekonomiczny, a więc i zdolność podatkowa nie jest dla nich obojętną. Należałoby przytem wywabić z ukrycia wszystkich naszych ekonomistów, których przecież mamy tylu, że aż encyklopedye od nich puchną. Wszyscy oni, gdy nadeszła taka piękna sposobność do popisu mądrości, gdzieś się pochowali, a prawdopodobnie rozprawiają u Lourse'a i Andzi nad tem, co lepsze: „postęp zdrowy i prawdziwy,“ czy też „wyuzdany i fałszywy.“ P. Z. del Campo skarży się w *Kuryerze warszawskim*, że prasa nie zwróciła dostatecznej uwagi na projekt tego pisma. Dotąd niema się nad czem zastanawiać, gdyż już zapewne wszyscy ziemianie propozycyę „kongresu“ (porzućmy przedewszystkiem tę nazwę) usłyszeli. Żadnego zaś rozwiniętego planu nowej gospodarki nie spotkaliśmy.

Życie nasze bez rozwoju ekonomicznego „złamanej szpilki nie warto.“ Bo na czemże oprzemy swoje istnienie, jeżeli nawet ta podstawa się usunie? To też sprawy współzawodnictwa amerykańskiego nie należy puszczać mimo uszu, jako przelotnej i dotyczącej jednego żywiołu społecznego. Dotychczasowe, zresztą bardzo dobremi chęciami wszyte projekty nie zawierają wskazówek pozytywnych i głęboko obmyślanych; są to improwizacye literatów „od wszystkiego,“ które kłopotu ani na włos nie usuwają. Lekarstwo wymaga tu naprzód gruntownej znajomości stosunków miejscowych i wiedzy ekonomicznej, a nadto policzenia się z tym nieubłaganym faktem, że niebezpieczny współzawodnik naszej wytwórczości nie będzie uwzględniał ani naszych strapień, ani niemocy, ani ustaw. Co Amerykę obchodzi wszystko to, co na swoją obronę przytoczyć byśmy mogli? Co ją obchodzą wszelkie serwituty, trudności zmian gospodarczych lub przeszkody zjazdów? Wyśle ona swą przenicę na targi europejskie, chociażby wiedziała, że milion rolników nadwiślańskich pójdzie z torbami. Walka o byt uczuwa miłosierdzie bardzo rzadko.

Niepodobna, ażeby obecne przesilenie ekonomiczne rozwiązało się szczęśliwie bez dotknięcia służebności. Jest to niemożliwem, gdyż prawa włościan, ubezpieczone na własności większej, udaremniają przewrót agronomiczny. Do węzła zatem, którego nie mogły rozpłątać ani usiłowania dworu, ani w jego interesie pisane broszury i artykuły, przykłada swój miecz niespodziewana i zdala przybywająca konieczność.

Ta sama, chociaż ze swojskich stosunków wynikająca konieczność przygotowywa nową zagadkę. Jak wiadomo, ustawa włościańska zastrzegła niepodzielność gruntów chłopskich po za 6 mórg i zabroniła sprzedawać je w ręce szlacheckie i mieszczańskie. Zastosowali się do tego przepisu... rejenci, ale nie zastosowała się rzeczywistość. Włościanie zaczęli drobić swoje grunta i — co ważniejsza — sprzedawać je bądź drogą aktów prywatnych, bądź też drogą zastawu. W łamaniu prawa nie uczestniczył żaden podstęp, ale prosta logika ekonomiczna. Rozwijające się stosunki przemysłowe podniosły w cenie ziemię na przyległościach miejskich. Zwłaszcza około Warszawy, otoczonej bądź obszarami majątków większych, którym Towarzystwo Kred. Ziems., długi hypoteczne i serwituty odłamywać kawałków nie pozwalają, spekulujący kapitał zwrócił uwagę na osady chłopskie i szukał dróżek do obejścia zakazu. I znalazł jedną: ponieważ kupić nie wolno, więc przedsiębiorca wydzierżawia od włościanina (lub bierze w zastaw) płat ziemi, na którym stawia letnie mieszkania lub fabrykę, warunkując sobie w akcie możność przedłużenia umowy, gdyby właściciel oznaczonej a bardzo wysokiej sumy w terminie nie zwrócił. Jeśli zważymy, że chłop nie zapłaci jej nigdy, nadto, że sprzedając morg lichej ziemi za 200—300 rs., osiąga większy zysk, to zrozumiemy jego gotowość do podobnych tranzakcyj. Ziarnko do ziarnka i zebrała się już duża miarka, która niedługo postawi przed nami nową kwestyę. Zapytani o zdanie komisarze włościańscy oświadczyli się za wzmocnieniem zakazu, ale to środek bardzo wątpliwy, gdyż dotychczasowe prawo było wyraźnem, stanowczem i ostrem. Żaden monopol nie ogrodził się tak mocnym murem, ażeby go nie przeskoczyła lub nie podkopała przebiegłość.

„Duch narodu—powiada Prus w *Kuryerze warsz.*—ma, jak ptak, dwa skrzydła: jedno do spraw wewnętrznych, drugie do zewnętrznych, jedno dla siebie, drugie dla obcych.“ Podczas gdy więc to „wewnętrzne skrzydło“ kilkakrotnie złamane ciągniemy za sobą, zewnętrznem szybujemy po przestworzach. „Dziś nastały czasy — według szan. kolegi — że najuboższy człowiek nie może myśleć tylko o sobie, ale od czasu do czasu musi coś poświęcać i dla innych; toż samo prawo (!) stosuje się i do narodów. Dziś trzeba coś znaczyć w świecie: trzeba być użytecznym, trzeba być siłą... Już dziś, dzięki Rogozińskiemu, nowe polskie nazwisko zapisało się w jeograficznych rocznikach.“ Rogoziński przeto jest owem „skrzydłem zewnętrznem,“ przez który my „coś znaczymy.“ Chwałaż Bogu! Wprawdzie nie pojmę ja nigdy, jak można „skrzydłem zewnętrznem“ unosić się wysoko, mając wewnętrzne złamane, oraz „coś znaczyć dla innych,“ mało znacząc dla siebie, ale żywię ciągle od lat kilku nadzieję, że *Kuryer warszawski*, pozostający w najbliższych stosunkach z „pierwszą polską wyprawą do Afryki“ zawiadomi wreszcie czytelników, a więc i mnie, jakiemi to głoskami zapisało się nazwisko polskie w rocznikach *jeograficznych*—dzięki Rogozińskiemu. Dotąd znamy tylko zapewnienia i notatki turystyczne. O *odkryciach* i *badaniach naukowych* jeszcze nie słyszeliśmy.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Normalne narodziny i wyjątek w Rawie. — Błąd taktyczny. — Pomysł *Tygodnia*. — Spokój ziemiański wobec zablegów miasta.—Rada dla szlachty i dla mieszczan.— Kwestya na czasie. — Szczęśliwe pomysły piotrkowskie.—Przymusowa oświata i profesyonalne szkoły.— Bazar w Łomży i konkurencya prowincyi z Warszawą. — Co u nas sprowadzi konkurencya zbożowa?

Pieniądze i pozwolenie!—oto dwa główne u nas warunki szczęśliwego przyjścia na świat poczętej w umyśle projektodawców szkoły. Zwykły, normalny niejako przebieg narodzin był dotąd taki, że pierwsze zastukanie do dobrych chęci usuwało materyalne przeszkody i pozostawały krótsze lub dłuższe kłopoty uzyskania drugiego warunku bytu, wieńczone bądź dobrym, bądź złym skutkiem. Od ogólnej zasady wyjątek stanowi Rawa. Mieszkańcy tamtejsi zapragnęli mieć u siebie progimnazyum klasyczne i po długich staraniach uzyskali 1 sierpnia b. r. od naczelnika dyrekcyi naukowej odpowiedź, że ostateczne przychylenie się władzy do ich żądań nastąpi wtedy dopiero, gdy już zapewnione będą środki pieniężne i inne potrzeby zakładu. Należy więc, aby gmach szkolny został odpowiednio wyporządzony, aby przygotowane było pomieszczenie dla zarządu, aby złożono 3,000 rs. jednorazowo na bibliotekę i wszelkie niezbędno sprzęty szkolne, nareszcie, aby miasto uczyniło zobowiązanie płacenia corocznie połowy wyznaczonej etatem sumy, t. j. 5,975 rs. Zgromadzeni w dniu 27 sierpnia przez burmistrza na naradę rawianie przyjęli wszystkie warunki prócz ostatniego, gdyż uznali, że nie są w stanie zdobyć się rocznie na więcej, niż 3000 rs. Z tego powodu proszą rząd, aby zechciał sam ponosić resztę ciężaru, gdyż Rawa, nie mając żadnego przemysłu, jako miasto rolnicze, kwitnącym dobrobytem poszczycić się nie może, a przytem po zniesieniu szkoły powiatowej została ogołocona z funduszów edukacyjnych pojezuickich na rzecz innych miast. Od przychylenia się dyrekcyi do tej prośby zależy teraz, czy szkoła powstanie, czy nie.

Zdaje mi się, iż podobne ultimatum nie było bardzo dobrym krokiem taktycznym. O wiele lepszy pomysł podsuwa korespondent *Tygodnia*, a mianowicie, że okoliczne obywatelstwo winno było przyjść z pomocą. Trudno doprawdy zrozumieć, jak panowie posiadacze większej własności mogą ze spokojem i obojętnością przypatrywać się staraniom i zabiegom miasta. Czyż według nich możność wyprawiania dzieci do Warszawy na naukę robi losy szkoły prowincyonalnej obcymi dla patrycyatu ziemiańskiego? Przy takiej polityce nie dojdzie się chyba do zadowolenia pretensyi przodowania narodowi,

Wychodząc z tego stanowiska, gotów się ktoś cieszyć z podkopywania przez samą szlachtę jej stanowiska. Nie jestem wcale wyznawcą pomysłu o „naturalnym przodownictwie,“ ale zawsze więcej pożądam pozytywnego czynu, dodatniej korzyści, niż dyskredytowania się jakiegoś stanu. To też życzę obywatelom bliższych i dalszych okolic Rawy, ażeby obejrzeli się póki czas i nie kompromitowali w oczach ogółu, a swem ospalstwem nie szkodzili interesom prowincyi i kraju. Jeżeli zaś podobne nawoływanie przebrzmi bez echa, jak głos w pustyni, to zdaje się biednym mieszczanom pozostaje jeden środek pomocy—odwołanie się do społeczeństwa całego. Ta droga na pewno ich nie zawiedzie.

Widocznie Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, rozsyłając kwestyonaryusz, dotyczący losów i urządzeń w sferach rzemieślniczych, poruszyło na czasie sprawę, która doszła do konieczności jakichś zmian lub przełomu. Nietylko w Warszawie zainteresowano się postawionemi pytaniami i radzono o reformach cechów, lecz niemal wszystkie pisma prowincyonalne zabrały głos w tej sprawie.

Sam fakt, iż dziś obowiązująca ustawa rzemieślnicza ułożoną została w r. 1816. przy warunkach zupełnie odmiennych i pod względem społecznym i pod względem technicznym, uzasadnia dostatecznie potrzebę reform gruntownych. Rzecz ta, dotykając losów tak licznej klasy, wymaga gruntownego i szczegółowego rozpatrzenia, które stanie się możebnem, gdy odpowiedzi od cechów nadejdą i zostaną ogłoszone. Tymczasem obradującym jeszcze nad pytaniami podsunę jako przykład zdanie przed-

stawicieli cechów piotrkowskich co do rozwoju oświaty śród rękodzielników.

13-ty paragraf dawniejszej ustawy dozwalał majstrom przyjmować na naukę wszystkich zgłaszających się, z wyjątkiem chorych i ułomnych. Otóż w Piotrkowie oświadczają się zatem, ażeby „odtąd chcący zostać uczniem winien, zgłaszając się do urzędu starszych, dostarczyć dowodu ukończenia szkoły miejskiej, a przynajmniej początkowej; bez tego dowodu i przed dojściem do lat 13-u majster ucznia do terminu zapisać nie może.“ Prócz tego 26 paragraf powinien ulegdz gruntownym zmianom, bo szkółka niedzielna dotychczasowa jest niedostateczną, a terminator rzemieślniczy prócz czytania, pisania i rachunku powinien się uczyć rysunków, arytmetyki, geografii w większym zakresie, początków nauk przyrodniczych, a w tem i hygieny.

Przykład zachodniej Europy aż nadto dostatecznie przekonywa o potrzebie błogich skutków przymusowego wykształcenia niższego. To też gdzie tylko można, należy naciskać, aby naukę robić konieczną. Gdyby myśl piotrkowskich rzemieślników znalazła szerokie zastosowanie w kraju, dałaby bardzo pożądane rezultaty. We Francyi na liście projektów stowarzyszeń robotniczych pierwsze niemal miejsce zajmuje szkoła profesyonalna, t. j. taka, którąby dawała nietylko ogólne, ale i odpowiednie dla każdego fachu techniczne wiadomości. Rozszerzenie dotychczasowego nauczania niedzielnego u nas byłoby dążeniem w tym samym kierunku. Gdyby istotnie dało się zorganizować wykształcenie klas pracujących w tym duchu, postawilibyśmy ważny bardzo krok na drodze rozwoju cywilizacyjnego. Naturalnie początek musi być skromny i szkoła nasza tylko w głowie projektodawcy będzie podobną na razie do szkoły profesyonalnej zagranicznej.

W sprawie bytu prowincyonalnych rzemieślników zabrało w ostatnich czasach głos *Echo łomżyńskie* z odmiennego tylko nieco punktu widzenia (nawiasem zauważyć muszę p. Starczakowi, że czystość języka jest pierwszym obowiązkiem piszącego po polsku: *mało tego* się nie mówi). Konkurencya wyrobów warszawskich zabija niemal zupełnie wytwórczość miejscową. Ktoś w Łomży wpadł na pomysł urządzenia *bazaru* dla łatwiejszego zbytu produktów tamtejszych warsztatów. Pismo prosi kolegów warszawskich o rozpatrzenie tej sprawy i wypowiedzenie rady i poglądu. Odpowiadając na życzenia p. Starczaka, pochwalić tylko mogę zamiar, chociaż nie sądzę, ażeby miał on doniosłe znaczenie. Duże i sprzedające wszystko sklepy wszędzie niemal przyjęły się dobrze, w Łomży więc zapewne także przyniosą różne udogodnienia kupującym i wytwórcom. Czy jednak przechyli to szalkę na stronę prowincyi w ważeniu się z konkurencyą warszawską — wątpić należy. Produkcya w dużym mieście odbywa się przy dziesiękrotnie dogodniejszych warunkach. Postęp techniczny, posunięty dziś tak wysoko, z łatwością przyjmuje się i może być stosowany w wielkich ogniskach kapitału i wiedzy. Koszta przewozu, trudności i kłopoty przesyłki w „epoce węgla“ spadły do zera. Wobec pary, kolei żelaznych i telegrafów warunki miejscowe: prąd wody, wiatry, liczba rąk roboczych zeszły do stopnia drugorzędnych czynników. Do prowincyonalnych zakątków towary szybko dochodzą, ale szczepienie wynalazków i ulepszeń odbywa się ze ślimaczą energią. Niema ani pieniędzy, ani umiejętności. Drobne też warsztaciki Łomży lub Pułtuska nigdy nie potrafią wytwarzać tak tanio i dobrze, jak duże zakłady stołeczne. Urządzenie bazaru, to tylko drobny kamyk rzucony na drogę wszechpotężnej konieczności. Czy można i czy należy radzić przeciw centralizacyi przemysłu, czy też usuwać tylko złe jej skutki? W jaki sposób uratować rękodzielników łomżyńskich w ciężkiej walce o byt? To kwestye do dziś nie rozstrzygnięte; wątpię też, czy publicystyka warszawska zdoła udzielić p. Starczakowi pożądanej rady.

Do podobnych znaków zapytania dojść można w sprawie przesilenia rolnego z powodu amerykańskiego zboża. Każdy z lekarzy społecznych posiada jakąś *idée fixe* i wszelkie zjawiska naciąga w ten sposób, aby przekonać siebie i innych, że są one prądem na pożądany przezeń ruch. Interesy społeczne, rozumie się, wychodzą na tem jak niefortunny Zabłocki na mydle. Groźna konkurencya zbożowa rozraduje zapewne socyalistów. Upadek rolnictwa to z konieczności wzrost kapitalizmu, fabryk, więc zjawienie się proletaryatu, przewrót, rewolucya, przyszły ustrój — słowem uciecha! Zwolennicy poczciwego swojskiego konserwatyzmu widzą, że zmniejszenie wywozu zmniejszy przywóz — bo za co będziemy kupować — ludność zubożeje, fabryki ustaną, wrócą dawne czasy, a socyalizm dyabli wezmą. Zwolennicy rozdrobnienia własności znowu radują się przypuszczeniem, że obywatel większy, nie mając komu sprzedać zboża, za bezcen odda ziemię chłopom, wszystkie produkty spożywać będziemy w domu i raj boskiego zapiecka zawita do polskiej krainy.

Które z tych pożądań dojdzie do skutku — nie wiem. Ale rządząc się logiką wolną od wszelkich doktryn, przypuszczać należy, iż napływ zboża amerykańskiego na europejskie rynki zniży wartość naszej pracy, zamknie drogi zbytu, trzeba więc myśleć o znalezieniu innych upustów.

Lach.

Kijów. Urzędownie donoszą *Agencyi północnej*:

„Jeszcze przed wakacyami zaszło w uniwersytecie kijowskim nieporozumienie z nader małoznacznego powodu: powstała bowiem kwestya, czy powołać lub nie miejscowego kompozytora Ałysenkę na dyrektora chóru w czasie mających się odbyć uroczystości jubileuszowych. Po wakacyach nieporozumienie zostało usunięte i zgodnie z życzeniem studentów urządzenie części muzycznej jubileuszu powierzonem zostało p. Ałysence. Dalsze zajścia wywołane zostały wskutek życzenia studentów, aby im pozwolonem było zaprosić gości na ich wieczór bez kontroli i aby dopuszczono na uroczystości jubileuszowe najwyżej trzysta osób za biletami. Nieporządki rozpoczęły się rano dnia 8-go września s. s. W czasie przyjazdu niektórych osób na akt uniwersytecki rozlegały się gwizdania z pośród tłumu studentów, stojących na bulwarze. W czasie samego aktu tłum złożony ze studentów i innych osób przeciągnął, śpiewając, przez miasto. Wieczorem przed mieszkaniem rektora znów powtórzyło się tłumne zebranie, powybijano kamieniami okiennice i szyby w oknach, w czasie czego jeden z profesorów, będących wówczas u rektora, zraniony został w głowę kamieniem. Zawezwana na miejsce zajścia policya i kozacy nikogo już tam nie zastali. Profesorowie podali do rektora adres z wyrażeniem współczucia i szacunku.“

— Ogłoszono tu następujące zawiadomienie urzędowne:

„W ostatnich czasach w generał-gubernatorstwie kijowskiem zdarzyły się często samowolne przywłaszczenia cudzych gruntów przez włościan. Otwarte napaści na lasy i pola sąsiednich właścicieli ziemskich doszły do takiego stopnia zuchwalstwa, że wypadało nieraz dla poskromienia ich i skarcenia uciekać się do użycia siły zbrojnej. Nieporządki te i gwałtowne zamachy na własność prywatną, niezależnie od energicznych rozporządzeń administracyjnych, skłoniły p. ministra sprawiedliwości do wydania na przedstawienie naczelnika kraju okólnika, zalecającego sędziom pokoju natychmiastowe i o ile możności na miejscu wypadku załatwianie skarg wnoszonych przez obywateli ziemskich na gwałty włościańskie; jak bowiem doświadczenie przekonywa, napastnicy uważają wszelką zwłokę za pomyślną dla swych roszczeń wskazówkę, powolność zaś w dochodzeniu krzywd zadanych własności prywatnej, w oczach nieoświeconego tłumu wydaje się być zachętą i aprobacyą ze strony władz sądowych rzekomego odwiecznego prawa włościan do całej ziemi, państwo rosyjskie stanowiącej. Wielki czas, aby upamiętane zostały ciemne tłumy i aby uznana przez prawo za nietykalną własność prywatna, otoczona została faktycznem poszanowaniem. Wśród liberalnych okrzyków i chłopofilskiej pobłażliwości, straciliśmy z uwagi jedną z główniejszych przyczyn ruiny własności ziemskiej i upadku rolnictwa. Niepodobna zwlekać dalej i doczekać się ostatecznego upadku racyonalnej uprawy i współczesnie panowania ciemnoty i wyuzdanej swawoli na gruzach porządku i nauki.“

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 25 września.

Zdania i domysły o zjeździe skierniewickim wciąż przepełniają dzienniki i w przyszłym nawet tygodniu nie przestaną jeszcze obiegać po Europie. Jedni się smucą, drudzy się cieszą, inni—i tych najwięcej—nadrabiają miną, ukrywając swe obawy i podejrzenia. Najbardziej podniosłym stylem przemawia naturalnie nasz *Kuryer warszawski*, według niego „światodziejowy fakt wywrze wpływ epokowy na *cały dalszy* rozwój stosunków europejskich... i zmieni sytuacyę świata.“ Najwięcej entuzyazmu okazał watykański *Moniteur de Rome.* Wysoce doniosły wypadek zjazdu — zdaniem organu papieskiego — będzie najważniejszym faktem końca XIX wieku. Zjazdem tym ks. Bismark uwieńczył swą działalność i to najpiękniejszy z jego czynów. Celem zjazdu jest położenie tamy przeciwko rosnącej ciągle fali fałszywego republikanizmu i socyalno-demokratycznego liberalizmu. Mniejsza o środki policyjne; moralne znaczenie zjazdu w tem tkwi, że trzy mocarstwa uważane słusznie czy niesłusznie za wały ochronne dla idei dynastycznych i monarchicznych zasad, nie lękają się stronnictw postępowych i ich morderczych pokuszeń. Błędnem byłoby mniemanie, iż złe, na które cierpi Europa, jest wyłącznie tylko politycznem. Jest ono moralnem. Nie polityczne, ale moralne i intelektualne warunki życia zmienić potrzeba, a mianowicie: 1) zapewnić wolność kościołowi i papieżowi; 2) przeciwko doktrynom zgubnym postawić zbawienne; 3) wytępić „kulturkampf“ tam, gdzie się on jeszcze pleni; 4) pozwolić kościołowi na działalność „publiczną“ i społeczną; 5) otoczyć papiestwo rękojmiami niezbędnemi dla każdej wielkiej potęgi moralnej.

Rządowe sfery w Paryżu i Londynie zostały zdaje się zatrwożone naradami wschodnio europejskich mocarstw. Dla zamaskowania zaś istotnego stanu swej duszy, a może dla pozyskania sprzymierzeńca, *Times* wykazuje niedogodne stanowisko Francyi wobec trójcesarskiego przymierza, *République Française* zaś odpłaca mu podobną monetą, wskazując na chmurę wiszącą nad Egiptem, która powstała i zasilana jest mgłami Baltyku. Obraz ten ma wyrażać, że głównym wrogiem Anglii jest Rosya. Jednocześnie dzienniki paryskie przemawiają tonem wyrzutu i rady do Austryi, przekonywując ją, że jedynem państwem, na które trwale w przymierzu liczyć może Wiedeń, jest Francya. Podobna myśl od dosyć dawna cieszy się wielką popularnością w kołach, politycznym kierunkiem zbliżonych do ministeryum obecnego.

Gordon nietylko nie zawiódł dobrego mniemania wszystkich polityków i wojskowych Europy, ale nawet o wiele przeszedł ich nadzieję. Życzono mu, aby doczekał się pomocy Wolseleya, a on tymczasem sam pobił oblegających i uwolnił okolice

Khartumu od nieprzyjaciela. Jakkolwiek wieści o zwycięskich bitwach 24 i 30 sierpnia nie otrzymały dotąd stwierdzenia, nie ulega wątpliwości, że uprzednie kroki angielskiego generała osiągnęły nadspodziewanie świetny rezultat. List ostatni tchnie pewnością panującego nad niebezpieczeństwem tryumfatora. Wolseley wstrzymał wysyłanie z Anglii projektowanych posiłków.

W Zagrzebiu ogłoszono mały stan wojenny i zamknięto gazetę *Sloboda*. Powodem tego były zaburzenia, wywołane przez partyę nieprzejednanych z powodu wyborów. Jakkolwiek partya ta wyszła z urn wzmocnioną, to jednak, rozjątrzona swą niewiele znaczącą mniejszością, wybijaniem szyb mściła się na obywatelach, poświęcających swe głosy na korzyść stronnictwa rządowego. Ostateczny rezultat wyborów do sejmu chorwackiego jest taki: partya rządowa liczy 70 członków, partya Starczewicza—24, niezależni—13, prócz tego powołano 3 posłów, nienależących do żadnego stronnictwa.

Cholera w Neapolu grasuje wciąż z niesłychaną wściekłością, porywając codziennie setki niemal ofiar. Główna przyczyna takiego stanu tkwi w nadzwyczajnem niechlujstwie całych dzielnic miasta. W części zwanej Fondaci, obyczaje i warunki życia doszły do takiego stanu, że zwiedzający nie byliby w stanie nic bardziej zwierzęcego znaleść u dzikich plemion Australii. W ostatnich czasach śmiertelność nieco zmalała. Miejscowi i zamiejscowi medycy przypisują to wpływowi moralnemu, podniesieniu ducha, spowodowanemu przez bytność króla Humberta. Godny syn Wiktora Emanuela pomimo przedstawień i błagań dotrzymał przyrzeczenia, że nie opuści Neapolu, dopóki zaraza nie osłabnie. Nawiedzał chorych, pocieszał, ratował, polepszał warunki bytu, własnoręcznie rozdał 300,000 zapomogi. Codziennie powracał do domu obryzgany wymiocinami cholerykόw. Wnajbliższym otoczeniu jego śmierć porywała ofiary, mimo to on ani myślał przerwać swej dobroczynnej misyi, w której mu towarzyszył ks. Amadeusz (były król hiszpański). Dopiero zapewnienie syndyków miast i doktorów, że cholera słabnie skłoniły Humberta do wyjazdu. Pomimo, iż krwawe widmo zarazy śmiertelnym tchnieniem sparaliżowało ducha, entuzyazm w Neapolu nie miał granic w wyrażeniu czci i uniesienia dla „ojca ojczyzny.“ Po powrocie do Rzymu oczekiwały króla równie silne wybuchy wdzięczności; nie pomogło to, że rozlepiono po ulicach wezwania, aby ludność żadnych owacyi nie robiła, bo Humbert prosił o to w telegramie do ministra spraw wewnętrznych. Ciekawem jest, jakie ognie płonęły w duszy watykańskiej*), gdy lud wiecznego miasta błogosławił syna zjednoczyciela Włoch. Płomień zawiści tem mocniej palić musiał, że duchowieństwo oprzeć się nie zdołało porywowi uwielbienia. Kardynał Sanfelice, arcybiskup neapolitański, jeszcze w swej rezydencyi wyraził królowi szczerą sympatyę, a w Rzymie ksiądz jakiś pierwszy wyrwał się z tłumu, aby przycisnąć usta do ręki, co przed niewielu godzinami pod ścierała z czoła cierpiących. Przy ocenianiu zachowania się króla włoskiego względy przekonań i dążności partyi zamilczeć muszą. Czy jest na świecie choć jeden poważny republikanin, któryby nie uchylił czoła przed monarchą, stającym dobrowolnie, z przekonaniem wśród poddanych, znajdujących się w niebezpieczeństwie. Majestat spełnionego trudnego obowiązku porywa zawsze, chociażbyśmy byli wrogami praw, które ten obowiązek wywołują.

Zupełnie odmienne niż we Włoszech budzą się uczucia w Belgii z powodu sankcyi królewskiej, udzielonej nowemu prawu szkolnemu. Zaburzenia, manifastacye, wciąż grożą. *National* wzywał nawet ludność do okrzyknięcia respubliki. Burmistrz miasta Brukselli, jeden z najbardziej wybitnych przedstawicieli liberalizmu i stanowczy wróg pomysłów klerykalnego ministeryum, żądał od ludności stolicy spokoju, doradzając legalną walkę przy wyborach gminnych. Inaczej się zachowuje szermująca zasadami chrześcianizmu zachowawcza mniejszość. *Gazette de Nivelles* powiada bez ogródek: „Zbliżamy się do wojny domowej... Tem lepiej, jeżeli do tego przyjść musi... Porwiemy wtedy za broń i obowiązkiem naszym będzie trafnie celować i porządnie zabijać!“

Pomimo, iż jako partya tryumfująca, katolicy powinni pożądać spokoju, jątrzą ludność zuchwalstwem i manifestacyami. Podczas jednej z nich, w Tournai, na sztandarze wsteczników umieszczony był napis: *Nędzarze (geux) i prostytutki, jeśli ośmielicie się poruszyć, chłopi zamkną wam pyski!* Należy przytem zwrócić uwagę, że ci *Geux*, postawieni obok prostytutek, byli to patryoci, walczący o wolność kraju.

Dziś już zatwierdzenie przez króla uchwały jest ogłoszone urzędownie, dopóki jednak krążyły tylko pogłoski liberalni burmistrze: Brukselli, Gandawy, Leodyum, Mons, Arlon i Antwerpii udali się do monarchy w celu wpłynięcia na jego postanowienie. Zwrócono mu uwagę na doniosłość petycyi 820 gmin i 2,800 mieszkańców Belgii. Król Leopold odpowiedział: „Otrzymałem wiele petycyj, wyrażających się w obu kierunkach. Wobec takiej różnicy zdań, nie pozostało nic innego, tylko słuchać woli kraju. która objawiła się w uchwałach większości obu Izb. Sądzicie mię zbyt łaskawie, podnosząc moją mądrość; natomiast przyjmuję wasze słowa, przyznające mi sumienne przestrzeganie obowiązków konstytucyjnego monarchy. Będę zawsze pilnował prawidłowego rozwoju rządów parlamentarnych.“

Na taką przemowę ludność stolicy odpowiedziała demonstracyą. Rzeczywiście konstytucya belgijska daje królowi prawo sądzić, czy Izba wyraża większość narodu i w razie, jeżeli tak nie jest, rozpuścić ją, a zwołać nową.

Poznań. Na walnem zebraniu przedwyborczem rzesza *Gońca* usiłowała krzykami zawichrzyć obrady i przeprowadzić kandydatury: Niegolewskiego, Czarlińskiego i Kościelskiego. Ostatni wszakże nadesłał telegrafem protest przeciwko popieraniu go przez ludzi, z którymi nic wspólnego niema. Śród krzyków i wrzawy przeszli jednak kandydaci komitetu: S. Cegielski, ks. Jaskulski i hr. Szołdrski.

Lwów. Sejm udzielił Grocholskiemu, który wrócił do zdrowia, jednomiesięczny urlop.

Berlin. *Germania* (organ katolicki) wzywa, ażeby jej rodacy i współwyznawcy w Poznańskiem, jeśli nie mogą przeprowadzić przy wyborach katolika niemca, głosowali za polakiem.

Londyn. Anglia przygotowywa wyprawę do Zhop w południowym Afganistanie dla stłumienia buntu miejscowych górali. Z Quettach wyrusza 6,000 wojska.

RÓŻNE GŁOSY.

Z pomiędzy wielu wystąpień przeciwko polakom, jakie zawierał w ostatnich czasach *Dn. warsz.* notujemy następujący głos:

„Jest jeden punkt, na którym z zadziwiającą jednomyślnością spotkały się prasa niemiecka i austryacka: pragną one i spodziewają się od zjazdu trzech cesarzów zgody w sprawie polskiej, w której zainteresowane są w jednakowym stopniu wszystkie trzy monarchie, w kierunku uchodzenia (obuzdanija) polskiego pierwiastku w Austryi, który w ostatnich czasach nabrał przeważnego znaczenia w Cislitawii i przez usta hr. Dzieduszyckiego zuchwale omal nie z groźbą przemówił o „jagielońskiej tradycyi...“ Jeżeli zgodność pogłosek jest poręczeniem ich prawdziwości, to rzeczywiście w Sierniewicach powinna była być mowa o polakach i ich pretensyach w duchu nieprzychylnym dla tych ostatnich. Minął już widocznie czas, kiedy Rosya była w stosunku do polaków i Polski kozłem ofiarnym przed opinią publiczną zachodniej Europy: proces Kraszewskiego i mowa Dzieduszyckiego otworzyły jej oczy!!“

Ponieśli wilka. Piotr książę Kutuzow zamieścił w gazecie moskiewskiej *Rus. Kurjer* ostre napomnienie dla *Mosk. Wiedomosti.* Nakreśliwszy obraz przyjęcia Najjaśniejszych Państwa w Królestwie, autor powiada:

„Dla każdego zatem, obdarzonego taktem politycznym i zdolnością kombinowania na przyszłość, wszystko stanowi oczywistą wskazówkę, że idea rosyjsko-polskiego pojednania nietylko nie została oddana do archiwum, ale przeciwnie żyje i przejawia się w postaci wzajemnej ufności, która dziś między Cesarzem i Jego rządem z jednej strony, a wszystkimi stanami ludności polskiej z drugiej stała się faktem spełnionym.

Nie poprzestawszy na ogólnem oszczerstwie pod adresem polskiej szlachty i arystokracyi, *Mosk. Wiedomosti* usiłują nastraszyć społeczeństwo rosyjskie a może i rząd Galicyą, będącą niby „cytadelą, skąd przywódcy polskiej sprawy prowadzą swe *podkopy* (!) przy pomocy obecnych *biskupów*, którzy niestety, stali się znowu siłą w kraju zachodnim.“

W tem wszystkiem, co *Mosk. Wiedomosti* mówią, byłoby wiele komizmu, gdyby jednocześnie nie podnosiło tu głowy szczególne zuchwalstwo względem rządu rosyjskiego, będącego dziś wobec polskiego narodu nie stroną wojującą, ale raczej jego opiekunem, pod egidą ogólnego prawa państwowego i współczesnej polityki rządowej, w której program wchodzi, jak widzimy, ustanowienie spokojnego i harmonijnego a opartego na wzajemnem poważaniu *modus vivendi* i z polskim katolicyzmem i polskim rozumnym patryotyzmem. Car rosyjski odwiedza stolicę polską, doznaje uroczystego przyjęcia i miłościwie zachowuje się względem ludności polskiej, to jest względem polskich patryotów, bo polaków którzy nie byliby patryotami prawie niema, a pan Katkow jakby urągając rządowi rosyjskiemu, woła: „Nie masz pojednania między tą partyą a Rosyą. Wszelkie ustępstwo względem niej, byłoby wielkim błędem lub *zdradą!*“

Za pozwoleniem, ale czy w takich okrzykach p. Katkowa. podnoszonych dzisiaj, nie należałoby widzieć dążności *anti-rządowej*.“

Zmiana frontu. Żydzi Kraju północno-zachodniego, którzy zruszczyli się, w ostatnich czasach zaczęli zdradzać upodobania polskie. Gdy pisma rosyjskie przyjęły tę wiadomość z ironią, *Woschod* odpowiada im według *Gazety polskiej* temi słowy.

„Nader niesłuszne czyni zarzuty żydom kraju północno-zachodniego prasa tak rosyjska, jako też i polska. Zarzucają im, że język polski, który jeszcze w piątym dziesiątku lat bieżącego stulecia uważali za ojczysty, ze zmianą prądów w kraju odrzucili; obecnie zaś, pod wpływem nieprzyjaznego dla nich usposobienia rosyan, a sprzyjającego polaków, zaczęli znowu bardziej sympatyzować z tymi ostatnimi. Krytycy nasi są w błędzie: myśmy się nigdy nie zlewali w jedno ani z polakami, ani z rosyanami; żydzi litewscy dążyli tylko do asymilacyi, pragnęli zobopólnego zbliżenia się szczerze. Polacy jednak odpychali ich dawniej na każdym kroku, wyrzucali im odrębność, widzieli dawniej w żydach tylko pasorzytów społecznych. Szlachta znosiła ich jedynie dlatego, że znakomicie umieli służyć jej interesom: mianowicie względem chłopa pełnić wstrętną funkcyę pijawek. Szlachcic chciał mieć chłopów nędzarzami i pijakami, wówczas bowiem miał ich w swem ręku; to też znosił żyda pijawkę — szynkarza. Żydzi wreszcie byli na dworach pań-

*) Musiał skutki tego zapału odczuć Leon XIII, gdyż ofiarował milion franków dla dotkniętych cholerą.

skich nieraz dość lubianymi błaznami; niestety, byli przedmiotem pośmiewiska „pana“ i jego gości, gdy ich targano za pejsy i szczuto psami. Naturalnie więc, gdy do kraju półn.-zachodniego zaczął od r. 1863 napływać inny żywioł, który bronił żydów przed „samowolą“ polskich panów, gdy ten sam Murawiew, który był biczem dla polaków, dla żydów „okazał się biblijnym słupem ognistym“ oświecającym im drogę na pustyni przez zakładanie szkół i zachętę do oświaty w duchu rosyjskim, gdy nakoniec rząd rozszerzył nieco zakres ich działalności—wówczas żydzi, poznawszy lepiej rosyan, zaczęli z nimi sympatyzować. Epoka jednak reform wewnętrznych, niestety, krótkotrwałą była. Następuje wkrótce zupełny przewrót w usposobieniach rosyan, jednocześnie zaś zaszły wielkie zmiany w pojęciach polaków, którzy zrozumieli, że żydzi zbyt są silni duchowo i materyalnie, ażeby godziło się nimi tak pomiatać. Powtarzamy raz jeszcze: chcemy ciągle zbliżenia się i porozumienia z narodem, śród którego żyjemy; że zaś my nie jesteśmy znowu tak bardzo niezdolni do asymilacyi, za dowód służy zachodnia Europa.

KRONIKA BIEŻĄCA.

W sferach szkolnych rozważają projekt urządzenia pensyonatów rządowych przy gimnazyach Królestwa. W Rosyi tego rodzaju instytucye istnieją oddawna.

Grono urzędników, pracujących w zarządzie uniwersytetu warszawskiego, wystąpiło z podaniem zbiorowem do władzy o urządzenie kaplicy prawosławnej w jednym z gmachów Kaźmierowskiego pałacu.

Gazeta Hatzuka, redagowana i wydawana w Moskwie przez p. A. Hatzuka, została zawieszoną i poddaną po wznowieniu pod przepisy cenzury prewencyjnej wskutek rozporządzenia p. ministra spraw wewnętrznych za naganny kierunek.

Zapis. Profesor Jakób Natanson zapisał testamentem kwotę 30,000 rs. dla Kasy im. Mianowskiego. Procenty od tej sumy mają być z woli testatora używane na nagrody dla autorów najcelniejszych dzieł naukowych i literackich.

Wydział fabryczno-przemysłowy, na wzór podobnych instytucyj w Peterburgu i Moskwie, ma być urządzony w Warszawie przy zarządzie policyjnym. *Mosk. Wied.* dowiadują się, iż odnośny projekt oddany został pod decyzyę władzy. Zadaniem wydziału będzie zwracać uwagę przedewszystkiem na poprawę bytu robotników.

Kasa oszczędności, istniejąca przy warszawskim Magistracie, posiada obecnie przeszło pół miliona rubli. Kapitał ten jest własnością 36,530 uczestników. Przeciętnie więc na osobę wypada 41 rs. 11 kopiejek. *Pół miliona* zaimponowało dziennikom, podziwiają więc wysokość sumy, rzeczywiście jednak dla miasta, liczącego 400,000 ludności, jest ona bardzo szczupłą.

Spółka jedwabnicza. Z powodu, iż czas, na który zawiązana została Spółka jedwabnicza, upłynął, zwołane zostało na dzień 20 b. m. ogólne zebranie akcyonaryuszów, aby orzec o dalszych losach przedsiębiorstwa. W ostatnich czasach interesy spółki szły bardzo licho i słusznie obawiano się, aby bezinteresowne te usiłowania, podjęte w celu rozwinięcia drobnego przemysłu wiejskiego, nie upadły ostatecznie. Ogólne jednak zgromadzenie tym razem jeszcze nietylko nie wydało ostatecznego wyroku śmierci, lecz obmyśliło środki odrodzenia. Zarząd podał wniosek, aby przekształcić Spółkę na Towarzystwo i przekazać mu jej kasę. Zbyt mała jednak ilość zebranych nie pozwoliła uchwałom nadać prawomocności, z tego powodu zwołano nadzwyczajne zgromadzenie na dzień 20 października bieżącego roku.

Rachunek sumienia. Nadzwyczajny dodatek do *Polit. Corr.*, zawiadamiający o straceniu w Wiedniu anarchisty Kammerera, taką podaje listę jego grzechów: Ze Stellmacherem i drugim wspólnikiem napadł na dorożkarza Michała Schätzla w Strasburgu; następnie zamordował żołnierza Jana Adelsa wewnątrz twierdzy. W temże mieście Kammerer należał do zamordowania prowizora aptekarskiego Franciszka Linharda. W Stuttgarcie był uczestnikiem napadu rozbójniczego na bankiera Heilbronna. Przebywając w Wiedniu pod imieniem Arnolda Ottera, zastrzelił Kammerer urzędnika policyjnego Hlubeka, później ze Stellmacherem i trzecim towarzyszem wymordował rodzinę Eisertów i zrabował pieniądze z kantoru.

Tak wygląda rachunek sumienia jednego apostoła „propagandy czynu.“ Zanim ona świat zbawi, radzibyśmy wiedzieć, czem ta „propaganda czynu“ różni się od zwykłych zbrodni?

Sprawozdanie z czynności „Kółka towarzyskiego“ akademików wrocławskich narodowości polskiej w półroczu latowem 1884 r. zostało nam nadesłane przez p. F. Fryzego prezesa i J. Rychlewicza sekretarza. Podajemy je tu w streszczeniu:

W końcu półrocza zimowego 1883/4 liczyło „Kółko towarzyskie“ 35 członków. W początku półrocza latowego 1884 r. wstąpiło nowych członków 22, wystąpiło podczas półrocza 8, obecnie więc pozostaje 49. Posiedzeń odbyło się 12; zwyczajnych 10, nadzwyczajne 1 i walne 1. Członkowie uczęszczali na zebrania dosyć regularnie; przeciętnie liczyliśmy na każdem posiedzeniu 44 członków. Oprócz tego cieszyliśmy się licznym współudziałem gości, tak że liczba osób na posiedzeniach wynosiła przeciętnie 59.

Kasa Towarzystwa w półroczu obecnem znacznie się powiększyła, gdyż z półrocza zimowego pozostało zaledwie 20 marek, z tego półrocza zaś oszczędność wynosi 141 m. 96 fen. Jest to suma dość znaczna, mogła by być jednak większą, jeżeli weźmiemy pod uwagę ogromne zaległości i długi byłych członków, wynoszące 1815 m. 30 f., a zaciągnięte w dawniej egzystującej kasie pożyczkowej. Lecz niestety prośby o zwrot, a nawet groźby nie skutkują. Towarzystwo posiada w aktach dużo rewersów i dowodów, jak mało umiemy uiszczać się z długów, mimo obietnic i przyrzeczeń.

Pomyślny stosunkowo stan materyalny Towarzystwa oddziałał korzystnie na działanie i czynność jego na zewnątrz. Pominąwszy bowiem współudział w pogrzebie Smolara i Bauma, b. prezesa Towarz. przemysłowego w Wrocławiu, pominąwszy dalej zajmowanie się wszelkimi potrzebami publicznemi, jako to: zbieraniem składek na teatr poznański, na szkółkę polską w Wrocławiu, na wydawnictwa poezyj serbo-łużyckich, na przewiezienie zwłok Mickiewicza do Krakowa, starało się „Kółko“ utrzymać jak najlepsze stosunki z Tow. handlowem i przemysłowem, które też odpłacając wzajemnością za dobre chęci licznie i gromadnie występowały na posiedzeniach, a szczególniej na rocznicy założenia „Kółka,“ gdzie tym razem przeszło 120 osób przy wspólnym bawiło się stole.

Współudział ten Towarzystw, wyżej wymienionych, był dla nas tem bardziej pożądany, że publiczność polska wrocławska prawie żadnego nie dawała poparcia. Młodzież postanowiła wystąpić w rocznicę śmierci Mickiewicza, to jednak wtenczas dopiero nastąpić będzie mogło, jeżeli publiczność wrocławska żywiej ruszać się będzie, niż dotąd.

W dalszym ciągu przeprowadziło *Kółko* po długich walkach i mozołach założenie *Czytelni akademickiej polskiej*, tak że już z Nowym rokiem nastąpić może otwarcie takowej. W skład *Czytelni* oprócz *Kółka* wchodzić będą: *Tow. literacko słowiańskie, Medyczne* i *Tow. czytelni dzieł nowszych.* Do zarządu na przyszłe półrocze wybrani zystali: Jan Rychlewicz jako prezes, Mieczysław Dekowski jako sekretarz, Bolesław Perro jako podskarbi, Stanisław Wojciechowski jako bibliotekarz Walenty Szafarkiewicz i Józef Rudzki jako ławnicy.

Kółko otrzymywało 16 pism w części bezpłatnie, w części za zniżoną cenę, za które Zarząd redakcyom, składa podziękowanie.

Uniwersytety niemieckie zaprowadziły szereg wspólnych zmian w przepisach co do otrzymania stopnia doktorskiego, podczas gdy wymagana należność pozostała nieujednostajnioną. I tak: gdy wydział prawny w Lipsku pobiera od doktorantów 562 m., frejburski tylko 204; inne obracają się między temi granicami. Z fakultetów lekarskich najwyższą opłatę ściąga getyngski 434 m., Monachium zaś, Würzburg i kilka innych najniższą — 300 m. Z filozoficznych Greifswald i Bonn wymagają po 340 m., Lipsk tylko 200. Większość uniwersytetów żąda od doktorantów krajowych dowodu z trzyletniego lub czteroletniego uczęszczania na wykłady i świadectwa dojrzałości; Tübinga i Würzburg uwalniają od ostatniego warunku. Doktoryzacye *in abeuntia* oraz uwalniania od rozpraw zostały zewsząd wykluczone; Getynga, Rostok i Giessen dozwalają przedstawiać dysertacye wypracowane dla egzaminu państwowego. Drukowanie rozpraw jedne wydziały zastrzegły w każdym wypadku, inne poprzestają na zobowiązaniu doktoranta, inne nawet ten obowiązek usunęły. Prawie wszystkie uniwersytety (z wyjątkiem Getyngi) przyjęły publiczną dysputę z dwoma oponentami na podstawie rozprawy.

Fundacya dobroczynna. P. Robert Doms, osiadły we Lwowie prusak, buduje tamże kosztem 100,000 złr. dom, mający być przytuliskiem dla podupadłych kupców i przemysłowców.

Cztery szkoły rzemieślnicze z wykładem w godzinach wieczornych otworzyła gmina miasta Krakowa, ogłaszając rozpoczęcie kursu w b. r. Kurs będzie trwał trzy lata.

O. O. Zmartwychwstańcy odstąpili od zamiaru osiedlenia się w Krakowie. Szczęśliwy Kraków!—pisze z tego powodu *Kur. lwowski.*

Naczelnym lekarzem kolei serbskich z siedzibą w Belgradzie mianowany został dr. Henryk Blumenfeld, polak, dotychczasowy sekundaryusz w szpitalu św. Łazarza w Krakowie.

Zmarli: Bernard Kalicki, historyk—we Lwowie,

— Paweł Kukolnik, b. prof. uniw. wileńskiego, cenzor, autor kilku poematów rosyjskich—w Wilnie.

Wywóz zboża ze Stanów Zjednoczonych w ciągu tygodnia wynosił: kukurydzy 38,500 buszl, pszenicy 930,000 buszli. Zapasy pszenicy dochodzą obecnie do 3,500,000, a kukurydzy do 220,000 buszli.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Mieczysławowi P. w R. Lepiej redagowana *Nowa R.*

P. F. Marcin. Wszystko wysłano do Kijowa, jak Pan sobie życzył. Prosimy zareklamować na poczcie — posyłka jest rekomendowaną.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Сентября 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.